

PRACA

Przedpłata w Poznaniu
już z odnośzeniem
tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów

Przedpłata
na pocztach tylko 1 markę
kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisana jest na poczcie w oddziale II, t. 86.

Nadesłane

50 fen. od wiersza.

Redakcja i Administracja przy ul. Rycerskiej nr. 38.
Telefon Nr. 295.

Ogłoszenia zwykłe

20 fen. od wiersza.

Uczmy dzieci po polsku!

NA UROCZYŚĆ ZESŁANIA DUCHA ŚWIĘTEGO.

Duchu Święty! — przyjdź prosimy,
Oświeć serca biednych ludzi,
Niech w bezdrożach nie błądzimy,
Niech błysk fałszu nas nie łudzi.
Udziel nam daru mądrości —
Byśmy prawdę zrozumieli,
Wśród walk, cierpień i trudności,
Jak Bóg każe żyć umieli.

Duchu Święty!... zlitowania
Twego żebrze lud znękany...

Codzień krwawi srogie rany.
Udziel, udziel daru mocy,
Byśmy piekło zwyciężyli...
Się wyrwali z ziego mocy,
Jak Bóg każe — w ciszy żyli.

Duchu Święty! przybądź z nieba,
Zstąp tu do nas, gdy błagamy...
Twój pomocy nam potrzeba,
Ach! bo grzechów się lękamy.
Udziel nam daru rozumu,
By złość świata wstecz odrzucić...
I wśród pokus licznych tłumu
Z drogi cnoty się nie zwrócić.

Duchu Święty!... coś oświecił
Apostolów — swoją mocą,
Daj nam także umiejętność,
Jak żyć, walczyć z ducha nocą.
Ciemno jeszcze w wielu sercach,
Noc ponura więzi ducha...
Któż bez Twego daru Boże
Prawdę znajdzie i usłucha?

Duchu Święty!... Wielki Boże,
Usłysz modłów naszych głosy —
Dobroć Twoją wszystko może,
W Twojej dłoni nasze losy.
Udziel nam ach! daru rady,
Jak żyć w świecie dziś potrzeba...
Gdy tu pełno fałszu — zdrady...
Chce nas odwieść z dróg do nieba.

Duchu Święty!... wiekiuśty,
Zstąp dziś na Twe wierne dzieci,
Pobożności blask przeczysty
Sercu nasze niech oświeci.
Świat dzisiejszy stygnie w wierze,
Pacierz nieraz zapomniany...
Niechże wielbim Boga szczerze,
Spraw, gdyś w darach nieprzebrany.

Duchu Święty!... z cześcią i łzami
O największy dar błagamy...
Zmiłuj, zmiłuj się nad nami —
Bo w nim szczęście wieczne mamy.
Bojaźń Boga niech nas przejmie,
Głębię ducha niech posiędzie,
Gdy brud ziemski z serca zdejmie,
Chwała Boża z nami będzie.

„Echa protestu.“

II.

Jest to już losem wszystkiego, co ludzkie, że doskonałym być nie może: doskonałą też broszura bezimiennego autora „Echa protestu“ nie jest. Wśród zalet, któremi się ona niewątpliwie odznacza, znajdują się wady: a zarówno jak jednomyślnie prawie przyznano jej pewne zalety, nie przeoczono też wad.

Nie chcąc bynajmniej odmówić słuszności wywodom autora — w najogólniejszym znaczeniu — zastrzedz jednak musimy, że jeśli zgodę i nawiązanie stosunków ze społeczeństwem niemieckim włączył do swego programu, jako nieodzowny czynnik w walce z germanizacyjnym systemem rządu, to powinien był w jakikolwiek praktyczny sposób starać się dać wskazówki dla urzeczywistnienia tego programu. Każdy program polityczny o tyle jest bowiem dobrym, o ile nadaje się do zastosowania w praktyce; nie ulega wątpliwości, że i trafne filozoficzne uzasadnienie jest bardzo cennym, cenniejszym jednak jeszcze jest *praktyczne przeprowadzenie programu*. Koła polskie — mówi autor broszury — muszą nawiązać stosunki ze stronnictwami opozycyjnymi. A jeśli stronnictwa opozycyjne *nie chcą* z nami wchodzić w stosunki? jeśli tają się nawet z każdym swym krokiem, jak to miało

miejsce np. gdy Centrum interpelowało o rozwiązywanie stowarzyszeń i starannie zakryło swą interpelację przed Polakami, aby nie dać im możliwości energicznego wystąpienia?

Takie drobiazgi, takie stosunki i stosunek istniejące między stronnictwami grają ważną rolę, jeśli chodzi o praktyczne zastosowanie programu. Autor broszury widocznie już od lat kilku nie bierze udziału w życiu parlamentarnym, skoro je z oczu spuścił. Lecz to nie zmniejsza wartości jego programu: pośrednio on zaznaczył, że stosunki te są wynikiem poprzedniego postępowania kół polskich, które zupełnie Polaków zdyskredytowało wobec stronnictw opozycyjnych. Zgodzić się na to można, jak również na myśl, że tylko śmiałem a czynnym występowaniem w szeregach opozycji mogą sobie Koła Polskie zdobyć utracone zaufanie. Z drugiej zaś strony należy w szerokich warstwach społecznych pracować nad sprawą porozumienia się.

»Praca nad rozproszeniem uprzedzeń podjętą być musi z dołu, od szerokich warstw ludności; ich usposobienie z czasem musi być miarodajne dla stronnictw, podczas gdy z drugiej strony porozumienie się stronnictw niekoniecznie świadczy o przychylności społeczeństw.«

Lecz w jaki sposób przygotować można w społeczeństwie niemieckim zwrot naszej sprawie i naszym prawom przychylny, o tem „Echa protestu“ nie wspominają.

Uznając w zupełności zasadnicze poglądy wyrażone w broszurze, sądzimy, że ta praca dałaby się skuteczniej może zapomocą jakiego towarzystwa, którego działalność wolna od wszelkiego szowinizmu, skierowaną byłaby ku temu, aby słowem i piórem rozpraszać uprzedzenia ku nam istnie-

jące, aby słowem i piórem szerzyć wiadomości z naszej historii i z naszych stosunków, aby w ten sposób zapobiedz i przeciwdziałać tendencyjnemu fałszowaniu wiadomości nas dotyczących. —

Drugi punkt broszury „Echa protestu“, którybyśmy zaznaczyć tu chcieli, jako słaby, dotyczy stanowiska, które zajmuje autor wobec *praw* naszych z jednej, a *sily* rządu z drugiej strony. W jednym miejscu w broszurze czytamy:

»Wchodzić w układy z kimś, dla tego, żeśmy słabi, a po stronie jego jest siła, brutalna przemoc — i głośno się przyznać do tego, znaczy to nietylko zabijać poczucie narodowości, ale niszczyć pierwiastki elementarnej moralności, która każe prawo stawiać ponad siłę. Lud — i bez Traktatów Wiedeńskich ma świadomość swych praw, starszych od wszelkich dyplomatycznych łamigłówek, — jeśli tylko mu się te prawa przypominają zapomocą energicznej opozycji wobec systemu germanizacyjnego.

Myśmy powinni pogodzić się z tą myślą, że Traktaty Wiedeńskie i inne — o ile się nas tyczą — są przez świat cenione na wartość makulatury i my tego nie zmienimy.«

Na innym miejscu jednak spotykamy się ze zdaniem, że „tylko liczenie się z istniejącymi warunkami, (t. j. z warunkami, wynikającymi z podziału siły) może być uważane za punkt wyjścia zdrowej polityki.“

Podobną nieścisłość spotykamy na innym miejscu.

Autor pisze:

»Już Dr. Skarżyński zresztą wypowiedział myśl, która dziś coraz uchwytniejszą przybiera formę, że wreszcie naturalny bieg rze-

czy, poczęści względy polityczne, poczęści ekonomiczne, skierować muszą bieg wypadków ku stworzeniu federacyjnego związku ludów europejskich: *w tym federacyjnym związku, który oprze się na naturalnych granicach kontynentu, muszą być uwzględnione wszelkie uprawnione żądania narodowości, ten związek składających*; w ten sposób rozwiązana być musi i sprawa polska, zarówno jak tyle innych zatar-gów narodowościowych.«

Możemy zgodzić się w zasadzie na zdanie szanownego autora i jak najlepszych dla naszej sprawy wyników oczekiwać z takiego federacyjnego związku państw europejskich, lecz jak pogodzić te nadzieje z ostrą krytyką broszury Dr. Skarżyńskiego, w której autor tak silnie stawia zarzuty z powodu, że Dr. Skarżyński operuje nieuzasadnionymi nieczem projektami, które „są wytworem wyobraźni historyozofa.“

Czy tej samej krytyki z pewną słusznnością zastosować by nie można było i do oczekiwania federacyjnego związku narodów Europy, który naprawi wszystko złe, co rządy sprawiły?

Lecz pomińmy punkt ten. Sądzimy, że żaden program polityczny nie może się obejść bez pewnej domieszki spekulacji na szczęśliwy obrót, który przybiorą rzeczy w przyszłości. Chodzi o to, aby z pewnem prawdopodobieństwem odgadnąć ten obrót rzeczy, do którego zastosowujemy nasz program: okoliczności mogą się złożyć tak, lub inaczej — ten charakter spekulacji, nieodzowny w każdym programie politycznym uprawnia autora „Ech pro-

testu“ zdaniem naszym w zupełności do niestwierdzonych, ale prawdopodobnych przypuszczeń.

Zupełnie innego rodzaju zarzut zrobilibyśmy jego programowi ekonomicznemu. Autor pisze bowiem:

»Brac udział w komisjach z pożytkiem dla »naszej sprawy« może Koło tylko mając jakiś program wyraźny przed sobą, nie zaś efemeryczne zdanie, abyśmy bronili »interesów rolnictwa, handlu i przemysłu.« Tych hasel ogólnych nasłuchaliśmy się już dość. Programu z nich zrobić się nie da. *Myśmy powinni bronić interesów drobnego handlu, drobnego przemysłu, drobnego rolnictwa!* Oto nasz program najbliższy.«

Punkt ten, tak, jak go autor przedstawił, a mianowicie żądając od Kół Polskich w Berlinie, aby przestały być li tylko reprezentacją aspiracji i praw należnych nam z tytułu narodowości, lecz aby reprezentowały interesy ekonomiczne i to w pierwszej linii — punkt ten pomimo swej słusznosci, kryje wielkie trudności i wielkie niebezpieczeństwa. O ile bowiem stoimy na stanowisku narodowem — o tyle jesteśmy łączni i jednolici: gdy opuścimy to stanowisko, aby zejść w sfery ekonomicznych interesów, tam wystąpią sprzeczności dążeń rozmaitych klas naszego społeczeństwa. Nasz handel ma interesy, które częstokroć sprzeczne są z interesami rolnictwa i odwrotnie. Autor trudność tę czuł i starał się ją wyminąć, twierdząc, aby w ekonomicznym programie uwzględnione były *tylko* interesy tych najszerszych warstw społecznych, które

Przedruk wzbroniony.

B. RADWAŃSKA Z ŚREMU.

Kartka z dziejów niedoli.

NOWELA

nagrodzona drugą nagrodą na konkursie „Pracy“ z dnia 1-go marca r. b.

Pierwszy to był dzień, w którym Piotr Ryza nie szedł do pracy. Przyczyną tego niezwykłego w dotychczasowym jego życiu wypadku nie była choroba, boć przecież siedział zdrow na stołku przed oknem, które otwierało widok na ciasną i brudną uliczkę, ożywioną właśnie grupą ludzi, odzianych w niebieskie bluzy, dążących widocznie do pracy w stronę dworca kolei żelaznej. Ryza westchnął. Jakże chętnie i on podążył by za nimi, gdyby nie wiedział, że droga byłaby daremną! Wszakże wczoraj przy wypłacie odezwał się wyraźnie wyższy urzędnik kolejowy:

— Nach einer höheren Verfügung können wir nur diejenigen polnischen Arbeiter gebrauchen, die des Deutschen in Wort und Schrift vollkommen mächtig sind. Diejenigen, welche das nicht vermögen, erhalten keine Arbeit mehr.

Ryza z czasów szkolnych miał kilka

słów niemieckich i ich znaczenie w pamięci, i powoli zrozumiął, czego żądano. Zarazem był przekonany, że wymaganiom tym zadość uczynić nie potrafi i z tego powodu pracę utraci. Przeczucie nie omyliło go, gdyż rzeczywiście został przez zarząd oddalony, „da er der Vorschrift nicht genügen könne.“

Innego zajęcia na razie znaleźć nie mógł. Siedział więc, pogrążony w ponurych myślach i rozważał: czego się jąc, by żonie i dzieciom zapewnić chleb. Nie mu jednak nie składało się podług jego życzeń i coraz większy niepokój ogarniał go.

— Piotrze! pójdz zjeść, a potem rozglądnij się po robotę!

Wstał i obrócił się do mówiącej. Była to kobieta w średnich latach, ubrana skromnie, ale chędogo. Oczy jej były zaczerwienione, jakby od długiego płaczu. Stawiła właśnie misę z jadem na stół, pousadzała w koło niego dzieci i gdy Piotr się przybliżył, zaczęła mówić drżącym głosem modlitwę. Potem wszyscy siedli i w milczeniu spożyli posiłek. Ciężka jakaś atmosfera panowała w izbie. Dzieci, zwykle hałaśliwe, widząc stroskane oblicze rodziców, nie śmiały się odezwać. Podziękowawszy Bogu za jego dary, zapytała Barbara:

— Dokąd pójdziesz? Niedawno po-

trzebowali robotników w fabryce żelaza, możebyś tam mógł znaleźć pracę?

Piotr nie odpowiedział. Wziął czapkę, włożył swój płaszcz i wyszedł.

Barbara sprzatnęła ze stołu i wysłała dwoje starszych dzieci, które jeszcze jednak nie chodziły do szkoły, do kościoła, by błagały Boga o zmiłowanie się nad nimi. Sama zajęła się robotą w izbie. Ale szło jej jakoś ciężko, a co chwile głębokie westchnienie wydzierało się z jej piersi. Godziny mijały zwolna. Dzieci przyszły z kościoła i siadłszy na ławie przy piecu, jęły przeglądać małą książkę. Była to ilustrowana historia narodu polskiego, którą Piotr im sprawił, aby wiedziały, że są Polakami, choć mieszkają na Górnym Szlasku.

— Matko! tu stoi, że Bolesław Krzywousty pobił Niemców niedaleko od nas, bo pod Wrocławiem na Psim Polu? — odezwał się Stasio.

— Jeżeli stoi w książce, toć musi być prawda — odpowiedziała zmęczonym głosem matka — ja bo się na tem nie znam.

Dzieciom chciało się wkrótce jeść. Zastawiła im obiad, sama zaś postanowiła czekać aż do przybycia męża.

Mrok już zapadał, kiedy wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł Piotr. Milcząc zdjął z siebie płaszcz i usiadł. Żona zwróciła się ku niemu z bolesną ciekawo-

budzić trzeba do życia narodowego. Żąda on od inteligencji ofiary z jej uprawnionych żądań, żąda po prostu poświęcenia — w interesie dobrej sprawy. Aby jej konieczność i potrzebę takiego poświęcenia wykazać, życzy on naszemu społeczeństwu, aby prędko doczekało się poważnej reprezentacji i kierownictwa w prasie, mówiąc:

»Polityczne życie przy obecnie istniejących warunkach w społeczeństwie Poznanskiem nie rozwinię się, dopóki inteligencja nie będzie miała organu, który posiadać zaufanie ogółu i godnie temu zaufaniu odpowie.«



Przedruk wzbroniony.

MOWA

w 13-tą rocznicę założenia

TOWARZYSTWA „SKAŁA“

najstarszego istniejącego Towarzystwa polskiego

w Nadrenii

wyłoszona 16 maja 1897 r. przez

Witolda Leitgebra

prezesa Towarzystwa „Skala“ w Kolonii.

Obywatele, Obywatelki!

Bo dajby nigdy nie przyszło nikomu
Opuszczać kraju, rodziny i domu
I w obcej ziemi wieść żywot tułaczy,
Na łonie nędzy i czarnej rozpaczy...
Teofil Lenartowicz.

Myśmy to poznali, myśmy to odczuli w własnej piersi, a odczuwamy tem głębiej, ponieważ nietylko za krajem rodzinnym żal i tęsknota nas dławią, ale ponieważ nadto te same znosić musimy prześladowania, co bracia nasi w Ojczyźnie. Nietylko wzajemna miłość, ale i wspólne cierpienie wiąże nas z braćmi i krajem. Ach, gdyby to tylko znosić prześladowania i przykrości, a móżdż przytem słowa wiary

i nadziei w czyny przyoblec, lub choć o krok tylko naprzód posunąć i przyspieszyć ich urzeczywistnienie, każdy z nas ochocho podjąłby się tego z miłości dla Ojczyzny. Więcej nam jednak dolega, że nie możemy podać dłoni pomocy braciom naszym w kraju, że duszy zbolalej nie możemy orzeźwić powietrzem rodzinnem, że nie możemy stanąć na wylomie zagrożonej Ojczyzny. — Czy jednak dla tego sami skazać się mamy na bezczynność, czy mamy ręce założyć, a lżę rękawem ocierając, westchnieniem i współzuciem tylko dawać dowody naszego przywiązania braterskiego? Nie! — i my mamy obowiązki względem Ojczyzny i braci, i my mamy działać, i my mamy choć zdaleka znosić cegiełki pod gmach Nowej Polski. Mamy, chociaż żyjemy daleko — ach czemu tak daleko — jak wdzięczne dzieci pamiętać o matce naszej Ojczyźnie, bo kto o niej zawsze i wszędzie pamięta, ten tylko ją miłuje, a kto ją z całej duszy kocha, ten też usłucha głosu jej i zostanie wiernym jej synem.

A jakie są nasze zadania i obowiązki narodowe na wychodźstwie w Niemczech? Pytanie to często staje przed nami, a lubo tu i owdzie omawiane, zawsze jest na czasie. Będąc stroną pokrzywdzoną i zagrożoną, nie można zaprzeczyć, że najważniejszym naszym obowiązkiem jest **obrona**. Chcąc braciom wskazać środki obrony, trzeba ich wpięrow pouczyć i objaśnić, dla czego i przeciw komu mają się bronić. Zadanie to dla nas nietrudne, bo walka nasza sprawiedliwa, bo na sztafardze naszym powiewa hasło: **prawda!**

Przyjrzyjmy się tylko pobieżnie wypadkom ostatnich lat, w których my jako bicia jesteśmy stroną krzywdzoną. Polacy jako naród z natury miękki i potulny, do ustępstw i układów skłonny, stanęli stanowczo po stronie partji podtrzymującej państwo, ale **kamieniem za chleb nam odplacono**. Mimo przywilei i praw, poręczonych słowem królewskim, przywileje nasze ukrócono. Sięgając do bogatego

skarbcza smutnych przykładów, a związani silnym węzłem z pniem narodu polskiego, najbardziej ranić nas musi, że pozbawiono nas prawa kształcenia się w języku ojczystym, prawa przebywania na polskiej ziemi ojczystej,*) prawa śpiewania pieśni narodowych, używania barw i godeł narodowych. Że przeciwnie, z pominięciem tych świętych a nieprzedawnionych praw boskich i przyrodzonych, ukuto na nas **prawa wyjątkowe**, które nas wywłaszczają, które nam odmawiają równouprawnienia, które nas rzucają na pastwę upadku materialnego i moralnego, które krepują nasze życie prywatne i publiczne, które nas goryczą, że przemilczę. Nie jest to stan przejściowy, stan chwilowy i wyjątkowy, ale system konsekwentnie stosowany, będący wynikiem przyczyn historycznych, oparty na fanatyzmie religijnym i narodowym, oraz nadziei w możliwe dopięcie nim celu, t. j. zatarcie ducha polskiego, zniwelowanie odrębności narodowych i zasymilowanie nas z narodem niemieckim. A chociaż to wszystko w płaszczek prawa ubrane, **my czujemy, żeśmy pokrzywdzeni**. Przywdziejcie Panowie Niemcy naszą skórę, stawcie się w nasze położenie, a **prawo** Wasze inaczej Wam się przedstawi! Wobec Waszego bezwzględnie tępiącego i ku naszej zagładzie celującego postępowania, mimowoli wyradza się wśród nas coraz większe rozgoryczenie. Heca antypolska doszła do tego stopnia, że każdy nieuprzedzony, nietylko Polak, ale wogóle człowiek, nie znajdzie dla niej usprawiedliwienia, ani wobec moralności, ani wobec sumienia, ani wobec poczucia sprawiedliwości i prawdy. Podżegacze i inicjatorzy, zwłaszcza warstwy biurokratyczne, rozzuchwalone naszą uległością, taką zakipiały ku nam przewrotnością piekielną, tak się na nas uwzięły, tak nam odgrazają, tak nam szykanami przypiekają

*) Rozporządzenie księcia Bismarcka które 40,000 Polaków z granic państwa pruskiego wydalilo i dziś jeszcze w praktyce od czasu do czasu bywa stosowane.

ścią. On zrozumiał to nieme pytanie. — Wszystko na próżno.

— Nie zliczyć w wielu miejscach byłem, a nigdzie nie mogłem otrzymać pracy. W jednej fabryce potrzebowano ludzi. Poszedłem tam. Ledwom zaczął mówić, kiedy właściciel przerwał mi i rzekł: „Sie sind, wie ich sehe, ein Pole, wir können nur Deutsche gebrauchen.“

Tak to nas poniewierają i głodem chcą zamorzyć. Ale dzisiaj jest zebranie Towarzystwa Robotników, do którego należę. Może tam co urządzią przeciw naszej biedzie.

Barbara zaczęła cicho lkać. Dzieci, widząc, że matka płacze, poczęły także szlochać. W kołysce niemowlę odezwowało się kwiląc. Piotr patrzył w ziemię, siłą woli utrzymując cisznięce się do oczu lzy.

Tak upłynęła długa godzina. W izbie zapanowała cisza. Dzieci wyplakawszy się, usnęły przytulone do siebie. Barbara zapaliła lampkę i podała mężowi wieczernę. Zjadłszy ją, udał się na posiedzenie Towarzystwa.

Na sali zgromadzenia panował ożywiony ruch. Przybyło wielu członków, których owe rozporządzenie pozbawiło pracy. Wszyscy byli zatem, aby zarząd z kasy wspólnej wspomógł tych, którzy nie mogli dotąd otrzymać zatrudnienia.

Przyszedł wreszcie przewodniczący i po zajęciu miejsc otworzył kilkoma słowy posiedzenie. Wtem odezwał się suchy i nieprzyjemnie ucho rażący głos w niemieckim języku:

— Da die Mitglieder sich der polnischen Sprache bedienen, so erkläre ich hiermit die Versammlung für aufgelöst.

Zarazem wysunął się naprzód niewdziany dotąd urzędnik policyjny i ruchem ręki wskazał drzwi. Wszyscy spojrzeli milcząc po sobie. Ale w Piotrze zawrzała głucha wściekłość.

— Chleb nam odbierają, a jeszcze chcą nam zabronić w naszych towarzystwach rozmawiać po polsku?

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, posunął się ku urzędnikowi. Oczy jego pały złowrogim światłem, usta były zacisnięte, palce rąk jego zamknęły się kurczowo w pięść. Przedstawiciel władzy struchlał i przytłumionym głosem począł wolać: Hülfe! Hülfe! Kilku rzuciło się naprzód i zatrzymało po dłuższym szamotaniu się Piotra. Wtedy oprzytomniał. Ale źle stało się. Podczas gdy inni tłumnie wychodzili z sali, został Piotr arestowany i dla sprawozdania odprowadzony na odwach.

Tu po zadość uczynieniu wszystkim wymaganiom został wypuszczony.

Smutny był jego powrót do domu. Wyrzucał sobie, że nierozważne swe postępowanie gorsza jeszcze zapowiadało przyszłość. Żona jego, uwiadomiona przez jednego na zebraniu obecnych o wszystkim, przyjęła go z płaczem. Dzieci już spały.

Pomimo rozwiązania zebrania zarząd sam rozdzielił pieniądze kasy pomiędzy członków, pozostających bez pracy. Oześć, która przypadła na Piotra, starczyła na kilkanaście dni.

Tymczasem został on powołany przed sąd i za „zamiar obrazy urzędnika policyjnego na ciele“ skazany na kilkodzienną karę więzienną.

Piotr przyjął wyrok w milczeniu. A więc tak daleko już doszedł, że on, człowiek dotąd uczciwy, na swe stare lata musi być skazanym za rozruch?... Hej! co się z nim dzieje, w głowie mu się kręci i nie może tego pojąć. —

I cóż była za przyczyna, która go do tego kroku popchnęła? Tu wszystko stanęło mu przed oczyma: utrata pracy, szukanie zatrudnienia, zebranie i wreszcie... zgrzytnął zębami. Wina tego wszystkiego spada nie na niego, ale na kogoś innego, ten odpowie za to na ostatnim sądzie...

Oświadczył, że gotów zaraz odsiedzieć swą karę. Jakoż odprowadzono go natych-

skórę, taką wrzawę przeciw nam podnieśli, że nawet dotychczas śpiące warstwy społeczeństwa zbudziły się z bezczynności i cały naród poznał, że na obietnki liczyć, na łaski spuszczać się nie może. Że w warunkach panujących, o zgodzie myśleć nie podobna, bo myśl taka, niczem nieuzasadniona, przeciwnie jako wręcz fałszywa i zgubne pociągająca za sobą skutki, równałaby się samobójstwu. Przysłowie, że „mądry Polak po szkodzie“ i tu się sprawdziło. Wielka też pora zacząć nam patrzeć trzeźwiej i poczciwiej na zadanie człowieka wogóle, w szczególności zaś, obywatele, pora najwyższa zacząć zmieniać i przeistaczać naturę leniwą i próżniaczą na rzetelnie pracowitą i wskrosz narodową.

Patrz słowiańsko ziemia cała,
Niech powieje tobą żal! —
To nie Pienna tak rozlała:
To prą Niemcy na kształt fal...

(I. S. Wierzbicki.)

Nie myśmy wywołali tę walkę. — Z wszystkiego, co nam najdroższe, co nam święte, chcieliby nas wyzuć.

Walka Niemców z nami jest wynikiem konieczności historycznej i ekonomicznej. Sposób tej walki zmieniać się może w szczegółach, w objawach nawet, ale w istocie będzie ona zawsze współzawodnictwem plemiennym i zarobkowym. Niemcy codziennie do ucha nam brzęczą: niema Polski! nie wierzą lub przynajmniej wierzyć w nią nie chcą. Bismarck w przemowie swojej w Warcinie w r. 1894 nazwał ją utopią, a jednak jak upiór ona ich straszy. Że zaś strach ma wielkie oczy, więc zaniepokojeni, jak kot z pęcherzem biegający hakatyści do dziedzinnego już Bismarcka i wytrzeszczają oczy, skąd się to widmo pokaże. Tymczasem zaś dzwonią zębami z trwogi, lamentują nad wzrostem polskości, która w ich oczach dwoi się i troi i klną — bo to najłatwiejsze — na „polnische Wirtschaft.“

Gdy w roku 1847 król Fryderyk Wil-

helm IV. posłał adjutanta swego hr. A. Stolberga-Wernigerode na Śląsk, aby mu zdał sprawę z tamtejszych stosunków, powiedział hrabia powróciwszy: *Ist wenig zu helfen, das ist eine verkommene Race, die dem Verschwinden entgegengeht.*

Gdy tegoż roku, podczas głodu na Śląsku, ks. Küntzer, wysłany przez biskupa wrocławskiego do pielęgnowania chorych na tyfus głodowy, chciał kupować zboże na chleb dla biednych Polaków śląskich, to Niemcy bogaci zamykali przed nim pełne śpichlerze i nawet za drogie pieniądze nie chcieli sprzedać zboża dla biednych Polaków. Niema też już dziś Niemców takich jak śp. książę biskup wrocławski, ks. kardynał Diepenbrock, który chciał sobie palec dać ująć za to, aby do Polaków po polsku mógł przemówić. — Mamy też tam i owdzie ucziwie myślącego Niemca, lecz mało takich.

Niemcy, którzy lekceważyli ducha polskiego, dziś poznali jego niespożyta siłę i czynią ostatnie próby, chwytają się ostatnich środków, czy skutek jaki wydadzą. My spokojnie podjęliśmy rzuconą nam rękawicę, bo sumienie nie szepce już, ale głośno i coraz głośniej nam mówi: **prawda zwycięży! Vincet veritas!** W tryumf prawdy nie zwątpiliśmy, chociaż drogą ciężką Bóg nas prowadzi.

Po tylu klęskach, po tylu zawodach, poznaliśmy już abecadło pojęć politycznych, dziś wytkniętą, jasną mamy drogę postępowania i nie oglądając się ani na lewo, ani na prawo, dążyć będziemy do celu, którego dopięcie będzie naszą nagrodą, a za który wszystko złożymy w ofierze. Szykanami Niemcy nas nie sprusaczą, przesładowaniem nie zmieniają naszych uczuć na przychylniejsze, groźbami i uciskiem nie sprowadzą nas z drogi, na którą wstąpiliśmy, a na niedowarzone kombinacje i oszczerstwa wszystkich szowinistów dziennikarskich wołamy: noście wodę przetakiem, to tak samo płonem, jak walka z nami, bo **myśmy niezwalczeni.** Znamy nasze siły, znamy naszą potęgę i nie z opo-

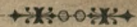
wiedania, ale na podstawie czynów dokonanych wierzymy w nasze odrodzenie.

Z głęboką wiarą w zwycięstwo stajemy do obrony. Czynimy to tem chętniej, ponieważ walcząc z trudnościami, opierając się wszelkim pokusom, wytrzymując odważnie wszelkie przykrości, wzmacnia i podnosi człowiek swój charakter, a z nim podnosi się cały naród i podnosić się będzie tak długo... aż wstanie.

Z tą świętą wiarą przejdziem przez świat cały, Przejdziem własnymi znacząc mogiłami, Po tych mogiłach, gdy wejdziesz świat biały, Nie zmylim drogi wytkniętej krzyżami.

(Lenartowicz.)

(Dokończenie nastąpi.)



Wystawa powszechna w Paryżu w roku 1900.

Francja postanowiła uroczystie pożegnać wiek XIX, a powitać XX, — i w tym celu zaprasza wszystkich przedstawicieli wszechświatowej cywilizacji, do zdania rachunku ze stuletniej działalności — do ogólnego popisu, na wystawie powszechnej, która ma się odbyć w roku 1900 w Paryżu, owem sercu cywilizacji europejskiej.

Prawidła wystawy ustanowione jeszcze w sierpniu 1894 roku żądają, aby z wystawą okazów współczesnych, połączony wystawą działalności poprzedniej, stopniowo dochodzącej do dzisiejszego udoskonalenia, tak, aby w poszczególnych grupach przedstawić postęp, do jakiego doprowadziła praca stuletnia, poczynszy od roku 1800. Wszelkie maszyny tak dawne, jak i świeże, mają być utrzymywane w ruchu w oczach publiczności, ażeby sposoby ich działania i wytwarzania przedmiotów przemysłowych, mogły być należycie ocenione i porównane. Cała wystawa ma się dzielić na 18 grup, z których każda będzie miała osobny pałac, stanowiąc niejako oddzielną, zamkniętą w sobie wystawę

miast. Piotr myślał, że im prędzej się wydestanie na wolność, tem lepiej będzie i prędzej może otrzyma jakie zatrudnienie. Smutnie upływał mu czas. Myśl jego bawiła ciągle przy żonie i dzieciach. Wybiła wreszcie godzina powrotu. Gdy opuścił ponury gmach, uczuł dziwny lęk w sercu, zdawało mu się, że przechodnie patrzą na niego z jakąś szyderczą miną, że dzieci wskazują nań palcami:

— Patrzcie! idzie z więzienia!

Spuścił wzrok ku ziemi i biegł szybko. Stanął wreszcie pod drzwiami domu i tu zatrzymał się na chwilę. Serce zabiło mu silniej. Wewnątrz było cicho. Naciśnął przecie na kłamek i wszedł. W piecu nie paliło się i chłód panował w izbie. Szufłada stołu wyciągnięta zupełnie była próżna. Barbara siedziała na ławie, trzymając u piersi najmłodsze dziecko, obok siedziały skulone postacie Maryni i Stasia. Twarze ich były blade, policzki zapadłe.

Na skrzypnięcie drzwi zerwali się wszyscy. Żona z płaczem objęła go jedną wolną ręką za szyję, dzieci uczepliły się jego ręki, witając radośnie. Ich widok przeszył go nową boleścią. Ucisnął Basie, podniósł dzieci do siebie i z ojcowską miłością pocałował. Potem począł się niespokojnie rozglądać po izbie. Żona pojęła jego myśli i rzekła smutnie:

— Wczoraj wydałam ostatni grosz. Dzisiaj nie jeszcze nie mieliśmy w ustach. Jutro trzeba także dzierżawę za mieszkanie zapłacić.

Piotr spojrzął błędnym wzrokiem na nią:

— Przyniosę wam chleba! — zawołał i wyszedł.

Udał się do pewnej fabryki, gdzie, jak mu dozorca więzienny mówił, można się było zgłosić. Przyjęty został od dyrektora, który się do jego prośby przychylił. W końcu zapytał, jak się nazywa i co w ostatnim czasie robił. Żalowie Piotr wymienił nazwisko, gdy dyrektor przerwał mu i rzekł:

— Nie mam z wami nic więcej do czynienia. Ludzi tak niebezpiecznych, jak wy, nikt do roboty nie przyjmie. Możecie odejść.

Pragnął się usprawiedliwić, lecz dyrektor wskazał mu zimno drzwi. Wyszedł chwiejnym krokiem. Błądził bezprzytomnie po ulicach miasta. Począł padać deszcz. On nie czuł, że przemókł do nitki. Wreszcie przyszedł do siebie i zawlókł się do domu. Z ponurej miny odgadła Barbara rezultat jego usiłowań, ukryła twarz w fartuchu i zaczęła cicho płakać. Siedzieli tak dość długo.

Wtem dał się słyszeć odgłos mocnych

stąpić, drzwi skrzypnęły i ukazał się właściciel domu, człowiek o grubych rysach. Łamaną polszczyzną oświadczył, że jeżeli nie mogą zapłacić dzierżawy, muszą się jutro wyprowadzić. Czekał na odpowiedź, nie otrzymawszy jej, mruknął coś po niemiecku i wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Dzieci zaczęły na nowo płakać, a że nic nie jadły przez cały dzień, więc zaczęły wołać:

— Tatulu! Chleba!

Potem ucichły, jakby przestraszone własnym głosem.

Piotr wstał i podszedł pod ścianę, na której wisiał Ukrzyżowany. Tu padł na kolana i począł modlić się w duchu:

— Panie! Widzisz, co cierpię. Ludzie mnie opuścili i mną wzgardzili, ale Ty tego nie uczynisz. Oto dzieci patrzą na mnie i wołają chleba. Zmiłuj się, jeśli już nie nademną, to nad niemi niewinnymi. Ciebie błagam w niemocy mojej, Panie! zwróć oko na sługę Twego i wspomóż go łaskawie...

Łza po łzie staczała się po jego licach...

W izbie uczyniła się cisza ogromna. Na dworze zapadał zmrok....



fachową, — a państwa biorące udział w wystawie, nie będą mogły wystawić wszystkiego razem w osobnym budynku, lecz stosując się do ogólnego pravidła, będą zmuszone wspólnie z innymi państwami, pomieszczać swoje okazy w pałacach grup poszczególnych. Takie urządzenie powinno oddać wielkie usługi tym, którzy nie dla zabawy jedynie, lecz dla nauki udadzą się na przyszłą wystawę paryską, gdyż będą oni mogli wedle swego zawodu, badać dokładnie postęp w poszczególnych gałęziach przemysłu, rolnictwa, sztuki i wiedzy, — i porównać ze sobą stuletnie zdobyte krajów poszczególnych, — aż po chwilę ostatnią.

Dla kraików drobnych, dzieci świata nowego, które bardziej dotąd mogą się szczenić piękną przyrodą, aniżeli zdobyczami nauki i przemysłu, uczyniono to ustępstwo, iż będą mogły posiadać oddzielne pawilony, nie tyle dla nauki, ile dla ozdoby i urozmaicenia całości przeznaczzone.

W samej Francji są utworzone komitety departamentalne, złożone z członków mianowanych przez ministra handlu, a obradujące pod przewodnictwem prefekta departamentu, i działające przez podkomitety, utworzone w ważniejszych miejscowościach departamentów.

Plac wystawy obejmie miejsca dawnych wystaw i niektóre nowe przestrzenie, a mianowicie: Plac Marsowy, Trocadero, Quai d'Orsay, Esplanadę Inwalidów. Quai de la Conference, Cours de la Reine i stojący obecnie pałac przemysłowy z placami przyległymi.

Cała przestrzeń nie będzie zbyt wielką, wyniesie bowiem około 1,080,000 metrów kwadratowych, będzie więc nieco mniejszą, niż plac zeszłorocznej wystawy w Berlinie; ale z tej przestrzeni wyznaczono około 930,000 metrów kwadratowych pod budynki.

Rząd francuzki przeznaczył na wysta-

wę 100 milionów franków; otwarcie jej ma nastąpić dnia 15 kwietnia 1900 roku, a zamknięcie 15 listopada tegoż roku. Wejście na wystawę kosztować będzie jednego franka.

Nagrodami dla wystawców będą: 1) Wielki dyplom. (Grand prix). 2) Medal złoty z dyplomem. 3) Medal srebrny z dyplomem. 4) Medal brązowy z dyplomem — i 5) dyplom honorowego uznania, (mention honorable).

Pięćdziesiąt czterech państw ze wszystkich części świata staje do współdziałania w wystawie. A więc zapowiada się potężny i poważny popis, na którym mają być przedstawione prace i usiłowania cywilizacyjne wieku XIX, — a zarazem wskazane drogi, na których przyszła praca wieku XX postawi pierwsze kroki młodzińcze.

Jeneralna Dyrekcya wykonawcza wystawy, nie znosi się bezpośrednio z wystawcami zagranicznymi, lecz tylko z komisarzami wystawowymi, których zamieniają państwa, biorące udział w wystawie. Zgłoszenia będą przyjmowane przez jeneralną Dyrekcję wystawy, tylko do dnia 15 lutego 1899 roku.

Komisye państw obcych rozpoczną swe czynności z początkiem roku 1899.

Program wystawy, jakieśmy to już na początku wspomnieli, obejmuje 18 grup, rozdzielonych na 120 klas. Są one następujące:

Grupa I. Wychowanie i nauka. 1. Wychowanie dzieci, szkoła ludowa, nauka dopełniająca dla dorosłych; 2. szkoły średnie, 3. uniwersytety i zakłady poświęcone umiejętności; 4. zakłady poświęcone sztuce; 5. fachowe szkoły rolnicze; 6. szkoły przemysłowe i handlowe.

Grupa II. Sztuka obejmuje następujące klasy: 7. obrazy, kartony, rysunki; 8. ryciny i litografie; 9. rzeźba, medale i rzeźby na drogich kamieniach; 10. architektura.

Grupa III. Środki pomocnicze i procedery w zakresie literatury, nauk i sztuk. 11. Drukarstwo; 12. fotografia; 13. księgarstwo, muzykalia, introligatorstwo, 14. geograficzne i kosmograficzne mapy i aparaty; 15. instrumenta precyzyjne, monety i medale; 16. medycyna i chirurgia; 17. instrumenta muzyczne; 18. teatr i jego przybory.

Grupa IV. Materyały i ogólne procedery budowy maszyn. 19. Maszyny parowe; 20. rozmaite motory; 21. inne maszyny i maszynowo-techniczne urządzenia; 22. maszyny pomocnicze.

Grupa V. Elektryczność. 23. Wytwarzanie i zastosowanie elektryczności; 24. elektrochemia; 25. elektryczne oświetlenie; 26. telegrafy i telefony; 27. inne zastosowania elektryczności.

Grupa VI. Inżynierya cywilna i środki transportowe. 28. Materyały, środki pomocnicze i sposoby działania w inżynierstwie cywilnym; 29. modele, plany i rysunki w zakresie robót publicznych, 30. powozy i wozy; 31. siodlarstwo i rymarstwo; 32. drogi żelazne i tramwaje; 33. żegluga handlowa; 34. żegluga napowietrzna.

Grupa VII. Rolnictwo 35. Materyały i sposoby działania w rolnictwie; 36. uprawa wina; 37. przemysł rolniczy (zaliczono tu: mleczarne, wyrobnie masła i serów, rolnicze gorzelnie, wyrobnie skrobi, olejarnie, fabryki margaryny, przygotowanie włókien tkackich, aparaty do wylęgu i tuczenia drobiu); 38. agronomia i statystyka rolnicza; 39. rolnicze artykuły żywności z królestwa roślinnego; 40. rolnicze artykuły żywności z królestwa zwierząt; 41. rolnicze produkty, które nie należą do pożywienia; 42. pożyteczne owady i ich produkty, oraz szkodliwe owady i pasożytne rośliny.

Grupa VIII. Ogrodnictwo i sadownictwo. 43. Materyały i sposoby działania; 44. warzywa; 45. drzewa owocowe; 46.

(Przedruk wzbroniony)

Za nic żydowskie swaty.

Komedia w 1 akcie ze śpiewami

napisana dla „PRACY“

przez

Feliksa Bobowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena VIII.

Katarzyna sama, później Janek.

KATARZYNA.

No, przecież dał się namówić! Co to z tymi chłopami. Urodzi się głupcem i chciałby, żeby jego dzieci na zawsze głupcami zostały. I ja nie potrzebowałabym dziś być Zagrodziną, tylko panią Kopytkowską, bo chciał mnie szewc Kopytkowski, ale mój niebożczyk ojciec też — Pani! świec nad duszą jego — był taki upartus. Wyszła za Kopytkowskiego Antka Mikołajczaków i dobrze jej było. Prawda przez nieszczeście wkrótce zniszczeni, ale toć to nie zawsze tak bywa.

JANEK

(wchodzi smutny, przystępuje do Katarzyny, całuje ją w rękę i mówi)

Pani Zagrodzina, nie sprzeciwiajcie się woli Boskiej, boć to Bóg chce nas z Małgosią połączyć, kiedy taką dał nam ku

sobie miłość wzajemną. Jak mi Bóg miły, że my jakby stworzeni dla siebie, ona mnie kocha — ja zaś ją.

KATARZYNA.

A co waszeci w głowie, nigdy, Małgosia nie wyjdzie za waszeci.

JANEK.

A za kogo to chcecie wydać Małgosię?

KATARZYNA.

A waszeci co do tego?

JANEK.

Toć kocham ją nad me życie, i nie ma mnie to obchodzić?

KATARZYNA.

Małgosia pójdzie za pana, a zresztą wara tobie do niej.

JANEK.

Za pana! ach przepraszam wielmożną panią, nie wiedziałem, że chorujecie na pana. Oj Zagrodzina, obyście kiedyś nie żalowali tego, że dziś zagradzacie córce drogę do szczęścia!

KATARZYNA.

Do szczęścia? Więc ciebie wziąć, to niby szczęście!

JANEK.

Ja tak myślę, bo my się kochamy, a za kogo innego pójdzie Małgosia bez swej woli i całe życie będzie miała udęczone!

KATARZYNA.

Już niech ciebie o to głowa nie boli.

JANEK.

Lepiej mieć swego kmiecia i dach i chleb własny, jak iść za szewca, lub krawca, golca, który tylko na jej pieniądze czycha!

KATARZYNA (ze złością).

A tobie co do tego, hę?

JANEK.

A po roku, jak pieniądze zje, to ją wypędzi.

KATARZYNA.

A tobie co do tego, hę?

JANEK.

I was zmarnuje wszystkich.

KATARZYNA.

A tobie co do tego?

JANEK.

Będziecie jeszcze kiedyś płakać nad nią.

KATARZYNA.

A tobie co do tego, hę?

JANEK.

Dziś nie chcecie słuchać, co wam mówię, ale odczekamy.

KATARZYNA.

Co ty się o to troszczysz?

JANEK.

Ale ona nie pójdzie za tego łowigrosza Fracka.

KATARZYNA.

A co ty będziesz rządził?

ozdobowe rośliny i kwiaty; 47. rośliny ciepłarniane; 48. nasiona i sadzonki.

Grupa IX. Leśnictwo, łowiectwo, rybactwo i zbiory dzikich płodów natury. 49. Materiały i sposoby działania; 50. produkty leśne; 51. broń myśliwska; 52. produkty łowieckie; 53. przyrządy, instrumenta i produkty rybactwie; 54. dzikie plody natury.

Grupa X. Artykuły żywności. 55. Materiały i sposoby działania przy wyrobie artykułów żywności; 56. produkty mączne; 57. piekarstwo; 58. konserwy z mięsa, ryb i jarzyn; 59. cukier, wyroby z cukru, korzenie i przyprawy; 60. wina i wódki; 61. rozmaite inne napoje.

Grupa XI. Górnictwo i hutnictwo. 62. Eksploatacja kopalni; 63. huty wielkie; 64. hutnictwo i giserstwo w mniejszych rozmiarach.

Grupa XII. Urządzenie wewnętrzne publicznych gmachów i prywatnych mieszkań. 65. Stałe części urzędzenia; 66. szyby; 67. tapety; 68. meble tanie i zbytowe; 69. kobierce, portyery i t. d.; 70. roboty dekoratorskie i tapicerskie; 71. wyroby ceramiczne; 72. wyroby ze szkła; 73. aparaty i sposoby ogrzewania i wentylacji; 74. sposoby oświetlania nieelektrycznego.

Grupa XIII. Przędziwo, tkaniny, ubrania. 75. Materiał i sposoby działania w przędzalnictwie; 76. materiały i sposoby działania w tkactwie; 77. materiały i sposoby działania w bieleniu, farbowaniu, drukowaniu i apreturze tkanin; 78. materiały i sposoby działania w białem szyćiu i konfekcyi sukien; 79. przędza bawełniana i tkaniny z bawełny; 80. przędza i tkaniny z lnu, konopi i wyroby powroźnicze; 81. wełna i tkaniny wełniane; 82. jedwab i tkaniny jedwabne; 83. koronki, hafty i wyroby szmuklerskie; 84. konfekcyje krawieckie dla mężczyzn, kobiet i dzieci; 85. inne gałęzie odzieży (kapelusznictwo, szewstwo, rękawicznictwo, wy-

rób bielizny, gorsety, sztuczne kwiaty, wachlarze, wyroby trykotowe, laski, parasole i t. d.)

Grupa XIV. Przemysł chemiczny. 86. Materiały i sposoby postępowania przy wyrobie środków chemicznych i lekarskich; 87. wyrób papieru; 88. garbarstwo i skóry; 89. perfumerye; 90. tytoń, tabaka, cygara i zapalki.

Grupa XV. Rozmaite gałęzie przemysłu. 91. Materiały i przybory do pisanja; 92. wyroby nożownicze; 93. złotnictwo; 94. jubilerstwo; 95. zegarmistrzostwo; 96. brzozy, aliaże i t. d. w zastosowaniu do wyrobów artystycznych; 97. szcztokarstwo, wyroby galanteryjne ze skóry i drzewa, koszykarstwo; 98. wyroby z kauczuku i gutaperki; 99. zabawki.

Grupa XVI. Ekonomia społeczna, higiena, publiczne urządzenia ratunkowe. 100. Urządzenia terminatorские; opieka nad młodocianymi robotnikami; 101. wynagrodzenie za pracę, udział w zyskach; 102. wielki i drobny przemysł, stowarzyszenia produkcyjne i kredytowe, korporacye przemysłowe; 103. rolnictwo wielkiej i małej własności, związki rolnicze, kredyt rolniczy; 104. środki bezpieczeństwa w warsztatach, prawne regulowanie pracy; 105. mieszkania robotników; 106. spółki konsumpcyjne; 107. urządzenia intelektualnego i moralnego popierania pracy; 108. instytucje dla zabezpieczenia materialnej przyszłości; 109. publiczna i prywatna inicjatywa w popieraniu ogólnego dobra; 110. higiena; 111. publiczne urządzenia filantropijne.

Grupa XVII. Kolonizacya. 112. Sposoby kolonizowania; 113. materiały używane przy kolonizowaniu; 114. produkta wywozowe dla kolonii.

Grupa XVIII. Armia lądowa i flota. 115. Uzbrojenie i materiał artylerji; 116. inżynierya wojskowa; 117. inżynierya marynarska, budowy wodne, torpedy; 118. kartografia, hydrografia i odnośne instru-

menta; 119. administracya wojskowa; 120. urządzenia sanitarne.



W polityce wewnętrznej Niemiec rozwieliżniła się panuje wszechwładnie — niekonsekwencya.

Pomiędzy tem, co mówią ministrowie, a co mówi kanclerz jest olbrzymi przedział, a jednak wszystko trwa dalej jak było, opierając się na niekonsekwencyi.

W drugim czytaniu ustawa o stowarzyszeniach została uchylona, przemawiał za nią v. d. Recke. Tegoż samego dnia prawie, gdy pan minister żąda prawa, skierowanego pośrednio przeciw Polakom, kanclerz Hohenlohe w izbie panów oddaje oświadczenie, niezgodne z przekonaniem ministra.

Po raz pierwszy padły w tej sesji w Izbie panów sejmu pruskiego słowa krytyki o stosunkach panujących w polskich dzielnicach. Wypowiedział je we wtorek podczas ogólnej dyskusji nad etatem członek Izby panów hr. Bohdan Hutten-Czapski, a kanclerz Rzeszy ks. Hohenlohe, pospieszył zaraz ze znaczącą odpowiedzią, po której przemawiał jeszcze ks. Ferdynand Radziwiłł.

Hr. Hutten Czapski uzasadnił żądania posłów polskich w kwestyi języka polskiego w szkole, oraz poruszył kwestyę postępowania władz administracyjnych wobec Polaków.

„Každy obywatel państwa — mówił hr. Czapski — brać musi udział w pracach, podejmowanych dla dobra ogólnego. Nie można jednak zapoznawać, że się pewną część ludności we wschodnich prowincjach różnego rodzaju środkami odstręcza od tej pracy. Dla tego prosz

JANEK.

Ale ona nie pójdzie za niego!

KATARZYNA.

Ciekawam, dla czego?

JANEK.

Bo mi serce oddała.

KATARZYNA.

Ale ja ci jej nie oddam.

JANEK.

To ją sobie wezmę.

KATARZYNA.

Bez mojej wiedzy?

JANEK.

Ona już ma lata. Jutro zaniesiemy na zapowiedzie, ja majątku waszego nie chcę.

KATARZYNA.

Wynoś się! a do kogo to mówisz?!

JANEK.

Do Zagrodziny, wieśniaczki, nie pani, Do równej sobie z wyjątkiem wieku.

KATARZYNA.

Co? do równej sobie? Wynoś mi się, powiadam, bo cię każę odprowadzić.

JANEK.

Mam takie tu prawo, jak i wy, Zagrodzino!

KATARZYNA.

A zresztą po co ja się mam z lada smykiem umawiać. (wchodzi do swej chaty).

Scena IX.

Janek sam.

JANEK.

A to uparta baba! Ani rusz. Nie powinienem był do niej tak ostro przemawiać, bo zawsze to starsza osoba, ale ona zmusza człowieka do tego jej postępowaniem. A więc — cała nadzieja w Małgosi. Ale kiedy ona zmięknie, to będzie wszystko stracone. Biedna moja Małgosia, jak ona mnie kocha, i tak teraz cierpieć musi. Oj! żebym ja tak mógł, to bym im wszystkim zapłacił za nasze kłopoty. Każdemu dostałoby się po troszę i tak. (śpiewa)

Wszystkim kobietom, trajkotkom,

Tak, jak nasza Zagrodzina,

Co się trudnią brzydką plotką,

Co kwadransik, co godzina.

[: Zwiozę siana z mej niziny

I niem zatkam im czupryny! :]

Zaś dla mężów ślamazarnych

Co pozwolą żonom rządzić:

Użyłbym przepisów karnych,

By nie dali babom błądzić:

[: Batem — przez ręce niewieście —

Dałbym wyrznąć im po dwieście. :]

Wszystkim krawcom z ich igłami,

Co polują na majątki,

Za marnemi monetami

W wiejskie wglądają zakątki!

[: Zamiast złociutkich dukatów

Dałbym oblewanych batów. :]

Zaś dla żydków, Iglów, Konów,

Co naszych braci chwytają

I nie puszcza z swoich szponów,

Kiedy złoto powachają:

[: Pokupują peleryny

I wygnam do Palestyny!]

Scena X.

Janek i Małgosia.

MALGOSIA (wpada).

Ach Janku! (witają się).

JANEK.

Myslałem, że już cię nie zobaczę. Co slychać nowego, moja rybko?

MALGOSIA.

Co slychać, to wszystko zle! Matus koniecznie mnie chcieli przebrać po miejsku, ale tatuś mnie uratowali.

JANEK.

Co, kazala ci porzucić stroje przodków?

MALGOSIA.

Tak, bo powiada, że to nie stósowny strój dla Franka.

JANEK (ściska pięści).

Oj! żebym ja tego Franka dostał, jużbym ja go wystósownił. No, ale ty nie zrobisz tego?

MALGOSIA.

Znasz mnie i wiesz, że nie zrobiłabym tego, ale jak zmuszą!

JANEK.

Nie zmuszą.

rzędu, aby większą opieką otoczył szkoły w Księstwie Poznańskim i w Prusach Zachodnich. Mówca żądał założenia w Ks. Poznańskim szkoły dla podoficerów, oraz instytutu higienicznego; dalej wyraził życzenie, aby w Księstwie ustanawiano dzielnych urzędników, a nie ludzi *à la* Carnap. Dziwić się doprawdy trzeba, że człowieka, który w dniu urodzin cesarskich po pijanemu bił się na ulicy, zostawiono po takim zajściu jeszcze w urzędzie. Można przecież żądać, żeby także Polakom działa się sprawiedliwie. Należy pracować nie nad zgermanizowaniem polskich prowincji, tylko nad zjednoczeniem wszystkich prowincji we wspólnej pracy w interesie państwa podejmowanej.

Następnie zabrał głos kanclerz Rzeszy ks. Hohenlohe i przemówił w te słowa: Konstatuję najprzód ku memu zadowoleniu, że poprzedni mówca wypowiedział zdanie, iż przy ocenianiu stosunków w jego rodzinnej dzielnicy nie należy zapatrywać się na nie ze stanowiska zasady narodowościowej, lecz ze stanowiska interesu państwowego. *Co do języka polskiego, to zawsze byłem tego zdania, że państwo, które przyjęło do swego ustroju obce narodowości, ma także obowiązek zachowywać język ojczysty tych narodowości. Wyraz „język ojczysty“ sam to nakazuje.* To pewna, że ta obrona i to pielęgnowanie polskiego języka nie powinno posuwać się tak daleko, aby miało doprowadzać do odwrócenia się od języka niemieckiego. Co do kwestyi szkolnej, to jestem przekonany, że minister oświaty weźmie ją pod rozwagę w sposób zadowalający. I ja ubolewam nad zajściami, które się zdarzyły w Poznaniu.

Trzeba sobie teraz zadać pytanie: jakim jest obecne położenie naszej reprezentacji parlamentarnej w Berlinie?

Od zwanej deklaracji posła Komie-

rowskiego, która była miarodajną dla dalszej polityki Kół Polskich, rozpoczęła się era polityki opozycyjnej.

Jakkolwiek od tak niedawna datuje się ta zmiana frontu wobec rządu i systemu rządowego, nasza reprezentacja parlamentarna kilkakrotnie już zajęła stanowisko, które zjednać jej powinno uznanie całej nieuprzedzonej a trzeźwo myślącej części społeczeństwa.

Stanowcza a konsekwentna opozycja, jaką Koło Polskie prowadziło wobec reakcyjnych dążeń rządu pruskiego, jak jeden mąż głosując w sejmie przeciw ustawie o stowarzyszeniach, jak jeden mąż głosując w parlamencie za wnioskiem, wymierzonym przeciw rządowi, stanowcza opozycja ta nietylko jest wyrazem przekonania naszego społeczeństwa, ale i bardzo ważną podwaliną dalszej polityki.

W bardzo krótkim stosunkowo przeciągu czasu stronnictwo polskie dwa razy dobitnie zaznaczyło wobec rządu, że opozycja, której się ono trzymać zamierza, nie jest bynajmniej manewrem taktycznym, lecz krokiem, wynikającym z przekonania politycznych i z obecnie istniejącej sytuacji: raz, wobec projektu marynarki wojennej, — drugi raz wobec ustawy o stowarzyszeniach padły głosy polskie przeciw rządowi, w obydwóch razach wywierając stanowczy wpływ na porażkę rządu.

Gdy w r. 1892 głosy stronnictwa polskiego pozwoliły rządowi osiągnąć tak ważny rezultat, jakim było bezwątpienia powiększenie armii, — rząd przyjął to jako dań od nas, najwierniejszych poddanych, przynależną; — społeczeństwo niemieckie i stronnictwa jako dowód braku politycznego programu; — społeczeństwo polskie nie mówiło wtedy nic, — bo jak wiadomo, zdania swego wtedy ono nie miało. Dziś ogół nasz z uznaniem spogląda na postępowanie posłów naszych,

jako nie na nominalnych, ale faktycznych swych przedstawicieli; stronnictwa niemieckie, wobec których zdyskredytowali się swego czasu, zapisują to nasze postępowanie a conto starych naszych długów; a rząd pruski —? Rządowi jest trochę przykro, że ubył mu 16 głosów — to można twierdzić stanowczo.

Trzeba uprzytomnić sobie, że głosy stronnictwa polskiego w danym razie rozstrzygać mogły o tak ważnym wniosku rządowym, jak ustawa o stowarzyszeniach, w którym zamkniętą była niejako esencja wszystkich wstecznych dążeń rządu, a uprzytomniwszy to sobie, łatwo zrozumieć można pewien niepokój, z jakim wysłany przez ministra v. d. Recke, radzca v. Philippsborn śledził słowa prezesa Koła p. Mottego przy pierwszym czytaniu ustawy. Jakżeby rad był minister doszukać się w tej mowie najlżejszej choćby wskazówki, że się rządowi uda zdobyć te 16 głosów jakąś obietnicą lub przyrzeczeniem.

Lecz próżne nadzieje! Wszyscy posłowie nasi stawili się do głosowania, *nie brakło żadnego*, i wszyscy głosowali zasadniczo przeciw rządowemu projektowi.

Lecz oto w Izbie Panów kanclerz Hohenlohe z pewną wyrozumiałością — aby nie rzec przychylnością — oświadczył się wobec kwestyi polskiej... Nie stało się to zapewne bez dobrze obmyślanego planu, którego detale co prawda widoczne nie są, lecz którego kierunek jest dość jasnym: rządowi potrzeba naszych szesnastu głosów i chętnie chciałby je nabyć. Lecz na nas nie robią już wrażenia piękne słowa a chętnem uwzględnieniu naszych uprawnionych żądań, zwłaszcza, jeżeli je słyszymy z ust pruskiego prezesa ministrów, pod egidą którego przedłożono projekt najbardziej reakcyjny od lat 50-ciu. Jużemy się stali pesymistami pod tym względem: szesnastu gło-

MALGOSIA.

Ty nie wiesz Janku, jak mi teraz ciężko smutno. Dawniej byliśmy tak swobodni, mieliśmy pewność, że będziemy do siebie należeć, a teraz od czasu, jak się ten krawiec zjawił, to same tylko zgryzoty. (śpiewa)

Smutne, och smutne to moje życie
I w sercu wielkie mam rany
Zgasta mi gwiazdka szczęścia w błękitie
Wolność ma skuto w kajdany!

JANEK.

Nie płacz, ach nie płacz moje kochanie,
Nie ci nie zrobią tyrany
Pan Bóg w obronie twej ze mną stanie
Zerwie ciężkie kajdany!

MALGOSIA.

Nawet nadzieją już się nie pieszczę,
Dziś i nadzieja już znika,
Dawniej mnie tatuś pocieszał jeszcze,
Dziś i on serce zamyka.

JANEK.

Choć i cały świat cię porzuci,
Ja tobie wiernym zostanę!
Niech się więc serce Twoje nie smuci,
Otrzyj łzę oko zalane.

MALGOSIA.

W Bogu i w tobie, Janku mój drogi
Całą nadzieję pokładam,
Niechże Bóg raczy strzedz naszej drogi,
Do jego rąk los nas składam!

JANEK.

Dzięki ci dzięki, za ufność twoją,
Nigdy cię ona nie zawiedzie.

Niech dusza twoja żyje w spokoju
Bóg nas do szczęścia powiedzie!

R a z e m :

(klękając przed figurą Matki Boskiej)
Miej nas w obronie o Pauno Święta!
Królowo nieba i słońca,
Niech miłość w sercach naszych poczęta
Wyrwa we walce do końca!

MALGOSIA

(zakrywając twarz dłońmi, modli się cicho).

JANEK

(klęcząc za nią całuje jej warkocz, poczem wstają)

Scena XI.

Ciż i Franek, później Igel.

FRANEK

(który wszedłszy przy rozpoczęciu ostatniej zwrotki z Iglem zdziwiony patrzy na śpiewających, podczas gdy Igel wystraszony stawa w kącie, tak że go nie widać.)

JANEK.

O! moja droga, jedyna, wszak zostaniesz mi wierną na zawsze?

MALGOSIA.

O tak, kochany Janku! Teraż, po modlitwie raźniej mi na sercu.

JANEK.

Pozwól, niech cię pocałuję na zadatek szczęścia!

MALGOSIA

(idzie w jego objęcia — całują się).

FRANEK

(spozobegłszy to, idzie ostro ku Jankowi, mówi:)

Co to, to już za wiele!

JANEK (spozobegłszy go)

A tobie co do tego!

IGEL (zawsze na boku).

Aj waj, gotowi sze pobycz!

JANEK (do Francka)

A co, widziałeś, jak ona mi sprzyja?
Może ci markotno, co? wolno spróbować.
(daje znak Malgosi, aby mu w twarz dała)

FRANEK.

Ty hamie! (do Malgosi z złe udaną galanterią) Pozwól pani, że się przedstawię, jestem Franek Gol...

MALGOSIA (przerywa)

Czego żądacie?

FRANEK.

Zapewne słyszałaś pani...

MALGOSIA.

Ja nie jestem panią.

FRANEK.

A więc — Malgosiu, kiedy się tak pozwolisz nazywać — pozwól, że ci powiem, że przychodzę w zamiarze...

MALGOSIA.

Nie chcę wiedzieć o waszych zamiarach!

FRANEK.

O, Malgosiu, nie bądź taką, boć matusia mi przyrzekła (chce ją objąć w pas).

MALGOSIA

(wyrwijąc się, uderza go w twarz)

To na zadatek! (ucieka na lewo).

(Ciąg dalszy nastąpi).

sów do sprzedania nie mamy i nie sprzedamy ich za piękne słówka.

Obowiązkiem tu moim jako sprawozdawcy politycznego jest rozzejrzeć się jeszcze trochę po świecie i zdać sprawę z tego, co słyhać poza granicami czarnobiałych słupów. Streścić wszystko można w dwóch słowach: Nic dobrego.

Ze w Carogrodzie dyplomacya europejska nie wiele zdziałała dobrego, — na to można się było naprzód przyszykować, lecz nie podobna było oczekiwać takiego obniżenia wartości parlamentaryzmu, jakie ma miejsce obecnie w parlamencie austriackim. Posłowie wzajemnie sobie wymyślają i wzajemnie się biją, nie szanując w niczem wysokiego zadania, którem ich naród zaszczycił.

Mylnem jest zdanie, że awantury w parlamencie wiedeńskim tylko jemu zaszkodzić mogą: zaszkodzą one żywiołowi parlamentu wogóle, obniżając jego powagę i jego zadanie w istniejących dziś stosunkach politycznych. Nie trzeba zaś zapominać, że parlamentaryzm jest jednym z tych nielicznych nabytków obecnego ustroju państwowego, na których spoczywają nadzieje lepszej przyszłości.

»Niechby już arystokracja budowała szpitale i urządziła bal, byle nie dowodono, że arystokracja tańcząc na balu, tem samem pracuje dla polepszenia politycznych stosunków narodu polskiego«.

A „*Dziennikowi Berlińskiemu*“ wiadomość o projektowanym balu dała okazję do wypowiedzenia kilku ogólniejszych uwag dotyczących naszej polityki w Poznaniu i w Królestwie:

»Największą wadą naszego politycznego uzdolnienia jest przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą. Najcharakterystyczniejszym jest choćby sam fakt, że znamy tylko dwa prądy polityczne: politykę ugodową i politykę opozycyjną. Jesteśmy albo biali albo czerwoni — co najgorsza zaś, że z niebywałą łatwością potrafimy w jednej chwili zmieniać barwę i z zaciętych wrogów stajemy się uniżonymi służalcami lub odwrotnie.

Historja najnowszych czasów wiele o tem może zaświadczyć. Jest to nader smutne, świadczy bowiem, jak dalece w naszej polityce rządymy się uczuciem, nie zaś wyrachowaniem; jak wielką rolę grają u nas nadzieje, jak małą fakta. Rzeczy można prawie — nadzieje zaslaniają nam zwykłe realne, namacalne fakta, — a to jest złe. — Jeśli bowiem mamy być dobrymi politykami, to powinniśmy się rządzić wyrachowaniem, nie zaś uczuciem: faktami, nie zaś obietnicami.

Niedawno temu, jak zamknięto akta nad porozumieniem się z rządem pruskim, teraz znów w Królestwie rozwijamy pełne żagle, aby sterować ku ugodzie — na ten raz, dla odmiany, z rządem rosyjskim: zupełnie jakbyśmy się wystawili na sprzedaż i ofiarowali najwięcej dającemu.

Niedawno, gdy kwitła w najlepsze ugoda z rządem pruskim, ugoda, po której tyle sobie obiecywano, imię Wilhelma II było

w Królestwie niesłychanie popularnem, podczas gdy w Księstwie nie znajdowano dość słów, aby opisać „wściekle barbarzyństwo Moskali«. — Dziś, gdy znów inny wiatr zawiął, nie taimy się z sympatjami dla północnego kolosu, staramy prześcignąć się w notowaniu ludzkości ugrzecznienia i sprawiedliwości, panującej w tym błogim kraju, podczas gdy znów brak nam wyrazów oburzenia, aby scharakteryzować wady Prusaków. Czemu się to dzieje? Czy Prusacy naraz stali się barbarzyńcami, a barbarzyńska Moskwa najbardziej cywilizowanym krajem? Doprawdy śmiechu warto patrzeć, jak my sobie ładnie, przykroć! umiemy nasze wyobrażenia do naszych życzeń i nadziei!

Czy zdanie to nie jest słusznem?

Zdaje się, że nieumiejętność utrzymania równowagi w naszych dążeniach politycznych stanowi kardynalną naszą wadę.

Oby z niej łatwo nam się było wyleczyć!

Przykro się robi na sercu czytając tak często w pismach naszych notatki, dowodzące jak wiele nam brak jeszcze do tego, abyśmy umieli w czyn wprowadzić chwalebne zasady i czynem stwierdzili, że zasad naszych trzymać się umiemy.

Czytamy np. w „*Kur. Warszawskim*.“

»Często słyseć dziś można hasło: Popierajcie swojski przemysł i rzemiosła! Kupujcie tylko u swoich! Nie dajcie zarabiać zagranicy i t. d. i t. d.

Hasła to i słuszne i zacne, a każdy, liczący się z obowiązkami względem społeczeństwa, nie będzie z niemi w rozterce.

Nie wszyscy jednak pamiętają o tych, dość zresztą luźnych, obowiązkach, a już najmniej chyba ci właśnie, którzy z przemysłem krajowym w najbliższym pozostają pokrewieństwie, t. j. wielcy kupcy, bankie-

PRZEGLĄD PRASY.

Kilka pism naszych podało wiadomość z Warszawy, że z powodu spodziewanego przyjazdu cara arystokracja polska zbiera po całym kraju składki, aby wyprawić bal. Wiadomość ta była powodem do najrozmaitszych komentarzy.

„*Oredownik*“ między innymi pisze:

obecność tego młodego mentora. Ostad mógł przyspieszyć przygotowania do wesela.

Ślub odbył się wieczorem w pierwszym połowie kwietnia, w kościele OO. Jezuitów, tak jak to Helena w sennem marzeniu kiedyś wyśniła. Przez bramy szeroko otwarte dochodziły świeże zapachy wiosenne. A jeżeli wśród zachwyty szczęścia, lekki cień żaloby przesunął się na chwilę przed oczyma pana Stanisława, było to zapewne wspomnienie małej wygnanki, której surowe wejrzenie zdawało czynić mu wymówkę.

W Białej-Górze pana Sawińskiego zaniepokoiła martwota dziecka. Już ani się bawiła jak dawniej, ani nie śpiewała, rzadko nawet się uśmiechając.

Aż pewnego wieczoru spotkała przypadkiem Tarasię i to ją do dawniejszego życia obudziło:

— Czy dziadzia pozwoli, żeby mi pokazała, gdzie można zrywać te ładne kwiaty, co dziadziu? Jabym się także chciała nauczyć ludzi biednych leczyć!

I z błyszczącymi oczyma, zawiesiła się na szyi starca.

Widząc tę bladą twarzyczkę rozświeconą nareszcie, nie miał odwagi odmówić jej prośbie.

Proszę jasnie pani, to Tarasia przyniosła kwiaty dla panienki.

Panna Malwina głowę podniosła:

— Co za Tarasia?

Piastunka skrzywiła się lekceważąco:

— O! to nic osobliwego, to ta którą

we wsi nazywają „bladą kobietą“ — to czarownica, która uroki na ludzi rzuca.

Lecz Micia wyskoczyła na środek pokoju, cała zarumieniona:

— Tak, tak, wiem, znam ją! O! niech ciocia mi pozwoli iść do niej, dziadzia powiedział, że mogę. Ja tę kobietę tak lubię! ona zna wszystkie tajemnice Boskie!

— I djabelskie także — zamruczała pogardliwie pod nosem Pawłowa.

— Cicho... niech Niania nic nie mówi — zawołała dziewczynka, lekko usta jej kwiatami muskając, poczem wybiegła do ogrodu.

Tym to sposobem Tarasia otrzymała oficjalnie stopień profesora botaniki, podczas gdy panna Malwina kierowała wszystkiemi innymi naukami.

Ileż to miłych godzin razem spędzili w lasach jodlowych i wzdłuż przezroczytych strumyków lub w dzikich jarach, gdzie ogromne skały granitowe rzucały fantastycznie cienie na słońcem opromienione polanki. W czasie tych majówek, ciotka Malwina siadała pod drzewem, a Micia pod opieką bladej swej towarzyszki; biegła po ścieżkach lasu, torowała sobie drogę wśród cierni i dzikich krzewów, a potem z iskrzącymi oczyma zbiegała ze stromnych pagórków z wiązką ogromną dzikich kwiatów.

— Patrz, ciocia, to *lamikamień* biały, a to niebieska *swierzbnica* dla starej Jazowej, która ma spuchniętą rękę. A tu *jasieniec* różowy na febrę i *babka* na rany.

I z miną poważną układała na tra-

Wychowanka Dziadunia.

CZEŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

Gdy sierota szlochać przestała, o jedno tylko błagała:

— Wyjedźmy!

Ale w mieszkaniu ojca chwyciły ją dreszcze, gorączka i przez kilka tygodni nie mogła łóżeczka opuścić; smutna jej twarzyczka, zbiedzona ciągłem nateżeniem umysłu, spoczywała w milczeniu na poduszce. Nigdy się nie skarżyła, ale niepodobna do dawnej, swobodnej dziewczynki, surowem okiem śledziła ruchy ojca, gdy na chwilę przychodził pytać o jej zdrowie. W jej dziecinnym umyśle, biorąc drugą żonę, zdradzał przez to pamięć drogiej zmarłej i nie mogła mu przebaczyć, iż obca osobą wprowadzi na miejsce, które zajmowała jej matka.

Z nadejściem wielkiego postu, zdrowie jej się polepszyło i postanowiono ją odwiedzić do Białej-Góry jeszcze przed ślubem. Helena odetchnęła; drażniła ją zarozumiałość tego dziecka, które powstało przeciwko niej, jakoby żyjąca wymówką. Pan Zarembo także odetchnął, jak wiezień które-muby odjęto dozórę. Choć się do tego tak głośno nie przyznawał, ciężła mu również

rzy, przemysłowcy. I oto wielu naprzykład fabrykantów, którzy radzi zalecają na prawo i na lewo kupno »swoich« wyrobów, »boć to przemysł krajowy«, lecz sami natomiast wszelkie zakupy na własną potrzebę czynią za granicą, a przede wszystkim w ojczyźnie hakatystów.

Zapewne, mógłby ktoś powiedzieć, iż do stosunków czysto prywatnych dziennikarzowi zaglądać nie wolno. — Zapewne.

To też nie wytkamy poszczególnych osób, pojedynczych faktów, ale na tle sprawdzonych wiadomości nie możemy zaznaczyć objawów egoizmu, czy próżności, które są nietylko »niesympatyczne«, ale i społecznie szkodliwe.

Jakby na dowód że nietylko Warszawa, ale i Poznań dość często grzeszy na punkcie przekroczenia zasady: »Popierajmy swoich« czytamy w „Gońcu Wielkopolskim“.

»Wspierajmy swoich! Pod takim mniej więcej tytułem spotykamy co dzień w pismach polskich artykuły, mniej lub obszerniej traktujące tę żywotną dla nas pod każdym względem sprawę. Nie zamierzam tutaj nikomu niesłusznych czynić zarzutów, ale jako Polak i rzemieślnik muszę zaznaczyć, że nie spodziewałem się, aby właśnie Towarzystwo, na którego czele stoją świątli Polacy pod tym względem zły, i to bardzo zły, dawał o drugim przykład.

Przechadzając się wczoraj po mieście zauważyłem na słupach afiszowych plakat jednego z tutejszych Towarzystw, które zaprasza polską Publiczność, gdyż plakat tylko w polskim języku był wydrukowany — na zabawę, jaka się ma odbyć w niedzielę, 30-go bm. Przeczytawszy cały afisz, spoglądam u dołu na firmę, w której drukarni jest wykonany i ku niemałemu zgorzzeniu czytam, że wykonany jest w drukarni żydowskiej.

Zdaje się, że wszelkie komentarze byłyby tu zbyteczne. —

A szkoda, że tak często u nas ginie bez echa głos: Wspierajmy swoich! bo przyszłość nasza nie leży w czem innym, jak tylko w rozwoju ekonomicznym, w dobrobycie narodowym.

* * *

„Kuryer Lwowski“ zamieszcza następującą charakterystykę mieszczaństwa poznańskiego:

»Mieszczaństwo poznańskie rozwija się pod względem ekonomicznym dość szczęśliwie — porównując je naturalnie z ludnością miast galicyjskich — atoli w stosunku do zakupowanych kamienie nie rośnie bynajmniej zrozumienie szerszych zadań społecznych i narodowych. Owszem gorączkowa chęć zrobienia pieniędzy zabija w niejednym wypadku poczucie obywatelskie, zaciera granicę pomiędzy tem, co ze względów narodowych czynić, a czego należy unikać. Ostatnie, tak smute objawy deptania godności narodowej, zdarzające się pomiędzy mieszczaństwem — udział w patryotycznych obchodach pruskich, podpisywanie składek na pomnik Bismarcków etc. — wyrodziły się niewątpliwie na gruncie spekulacji kupieckich.«

Sądymy, że „Kuryer Lwowski“ się w swym sądzie pomylił. Ani nasza inteligencja, ani mieszczańskie warstwy nie zasklepily się w poziomej pogoni za zyskiem. Było to może dawniej, dziś jednak stosunki się zmieniły.

„Dziennik Berliński“ zwraca też uwagę, że

»epoka politycznego serwilizmu i nieodłącznego od tegoż zmateryalizowania społeczeństwa, rzecz można — już należy do przeszłości. Dziś pod innymi hasłami od-

bywa się walka o byt na wszystkich polach, nietylko pod hasłem dorobkiewiczstwa.«

Obawę Niemców przed rzekomem niebezpieczeństwem zagrażającym monarchii pruskiej ze strony Polaków nazywa chorobą umysłową jedno z pism niemieckich mianowicie „Tils. Allg. Ztg.“.

»Jak mogą nie tylko jednostki, ale całe stronnictwa zaślepiac się tak daleko by sprawę językową zamiast że stanowiska pedagogicznego traktować z jakiegoś fanatycznego stanowiska politycznego. Skądże ta chorobliwa obawa przed garstką ludzi po polsku mówiących?

Zdają się niektórzy obawiać, że kilka słów, wyrzeczonych w języku drobnej mniejszości, zamieszkujejącej część obszaru wielkiego państwa, zdolają obalić to państwo, a przynajmniej zachwiać je w podstawach. Ależ to dla zdrowo myślącego człowieka zupełnie bezmyślnem wydawać się musi!

Są wprawdzie ludzie, pisze „Tils. A. Ztg.“ przeciwni wszelkiej swobodzie ludności, którym zdawać się może pożytecznem, by zniesiono mieszczańców państwa do używania jednego i tego samego języka. Ale nie powinni się takim dawać powodować i tu co zresztą kierują się zasadą wolności, ale nie umieją się w tym razie wznieść na stanowisko, sprawiedliwie oceniające stosunek do innego szczepu.

A przecież mamy przykłady, że gdzieś dzieć spokojnie żyją obok siebie i rozwijają się narodowości różnojęzyczne w jednym państwie; Szwajcaryja wszystkim mieszkańcom równych udziela praw, bez względu na to, jakim mówią językiem. Trzy języki są w Szajcaryi równoprawne, a państwo rozwija się przecież prawidłowo.«

Słuszną tu robi uwagę „Gońca Wielkopolski“.

wie szafirowe kwiatki goryczki i dzwonki czerwone, jaskier złocisty i srebrne kity dzikiego przyszczenia.

Panna Malwina patrzyła z czułością na dziewczynkę, która u stóp jej kłęcząc, cała uśmiechnięta szebiotała wesoło.

— Poznają znów naszą dawną Micię.

— A czy ciocia Malwa wie, jak można całkiem na pewno wyleczyć z suchot? Nie wie ciocia?... otóż, rozbiera się chorego i zanurza się go do kąpieli razem z kotem, biedny kotek! przyjmuje on chorobę na siebie. To bardzo łatwo! Tarasia to wypróbowała!

I śmiejąc się do rozpuku, uciekała znów w las i nowe kwiaty przynosiła.

Micia całkiem powróciła do zdrowia i dawna jej wesołość nanowo się obudziła; lecz gdy w rozmowie mowa była o jej ojcu, milczała uparcie; a gdy dziadek, pragnąc ją oswoić z nowym położeniem, opowiadał jej rozmaite szczegóły z podróży nowożeńców, albo czytał jej ustępy z listów ojca, Micia przybierała minki nieszcześliwej ofiary, tak iż nawet pobłażliwy starsuszek marszczył brwi niecierpliwie.

Pewnej niedzieli po niesporach wyszły wszystkie razem: ciotka usiadła na trawie nad drogą, a Micia z Tarasią dotarły aż na cmentarz, żeby tam nazbierać pinderyndy i innych ziół lekarskich. Dziewczynkę nieznacznie ogarnęła niewytłomaczona tęsknota. Nie pojmując sama, co się z nią dzieje i czy to widok melancholijny grobów tak ją rozrzewnił, uczuła niepohamowaną potrzebę zwierzenia się ze smutku

prostej swej towarzysze i siadając obok niej na kamiennym grobowcu, bez namysłu otworzyła jej serduszek. Tarasia, kłęcząc na mogile cmentarnej, słuchała uważnie, a długie jej ręce kościste szukały dokoła trującego kwiatu *bichumu*, lub odretwiającego nasienia *blekotu*, którego żółte kwiatki, ciemnymi centkami nakrapiane, wily się u jej nóg, podobne do węzłów mikroskopijnych.

Micia opowiadała gorycz pierwszych lat dziecińczych, osamotnienie swoje i smutne chwile śmierci ukochanej matki; lzy cisnęły jej się do oczu, gdy mówiła o powrotnem małżeństwie ojca, o zdradzie względem pamięci zmarłej.

Słońce jaskrawe kryło się już za górami, a w ogólnym spokoju natury, głos dziecka, przerywany łkaniem, dzwijał smutny i drżący:

— Nieprawdaż, że to złe umarłych zapomnieć?

Znahorka powstała i w tle czerwonego nieba, na którym się rysowały gromady kruków, wydawała się jeszcze większą i bardziej bładą; nie odpowiedziała zaraz na pytanie dziecka, ale długo nań patrzyła, błędnym prawie wzrokiem.

— „Pies nie sądzi dziecka, dziecko nie sądzi człowieka, człowiek nie sądzi Boga“ — wyrzekła nareszcie.

A gdy Michalinka zmieszana prosiła o wytłomaczenie dziwnych wyrazów, Tarasia wskazała na wierzbę płaczącą, której smutne warkocze spływały aż do ziemi:

— Tu leży córka niewdzięczna, z ręki jej to drzewo wyrosło, a teraz dziewczę płacze i jęczy i ręce zalamuje, ale już za późno... Nie wolno sądzić ojca.

Micia słuchała, prawie nieprzytomna. Rumieniec wstydu okrył jej czoło i ukrył twarz w dłoniach. Ta ciemna kobieta i kilku słowy zburzyła całą budowę jej uczuć.

Gdy po chwili się obejrzała, wieśniaczka już znikła, a na zakręcie drogi zbliżała się panna Malwina ciężkim nieświeżym krokiem. Micia pobiegła ku niej; gdy przechodząc koło wierzb, która lekko wiatr kołysał wśród szelestu liści, zdawało jej się usłyszeć głos wyraźny, który szepotał: „Córka niewdzięczna! córka niewdzięczna!“ Zawstydzona i wystraszona, chwiejnym krokiem, rzuciła się w objęcia starej panny, wołając wśród łkania:

— O ciociu! już się nie gniewam, że się papa ożenił! już nigdy nie będę zazdrosną, niech mi tylko przebaczy, niech przebaczy!

* * *

Zgoda nastąpiła w Lipowej w majątku, który prezes posiadał pod samą Lwowem i gdzie wróciwszy z podróży zamieszkał z młodą żoną.

W innym czasie Micia byłaby może zauważyła chłodny wyraz twarzy ojca i macochy, ceremonialne ich obejście i etykietę wymuszoną, paudającą w całym domu, który w wspomnieniach jej żył jako obraz wesołości i słońca. Lecz cała przejęta myślą pojednawczą i przywiąza-

»Znamiennem jest, że właśnie w dzielnicach polskich odzywa się ze strony niemieckiej raz po raz głos rozsądny. Powinno to przecież zastanowić tych, co zawierają tendencyjnym artykułom berlińskich „Neueste Nachrichten“, „Post“ itp.

Czwarty z rzędu proces

wytoczyła król, prokuratora sześciu redaktorom, współpracownikom i nakładcy naszego pisma na mocy § 166 kodeksu karnego z powodu następującego w nr. 18 „Pracy“ z dnia 23 stycznia r. b. zamieszczonego artykułu, a mianowicie z powodu poniżej zamieszczonego „Listu Matki Polki“:

„O pacierz Polski.

Poszło o pacierz. Nauczyciel-niemiec wyrugowałże szkoły „Ojcie Nasz“, bo dźwięki polskiej mowy drażniły jego germańskie ucho. Kazał więc dzieciom odmawiać: „Vater unser.“ Dzieci nierozumiały słów niemieckich.

Na sądzie pokazało się, że ani jedno dziecko nie umiało zeznawać po niemiecku, a były między zeznającymi dzieci nawet 13-letnie, niektóre nie umiały odpowiedzieć przewodniczącemu na proste pytanie: „wie alt bist du“, albo „welcher Religion bist du.“

Niedość, że dzieciom zabrano mowę polską -- zabrano im także możliwość rozumienia słów, któremi się modlą do Boga. Ksiądz prob. Szadziński żądał pacierza po polsku. Jako

opiekun dusz młodocianych miał do tego słuszne prawo. Nazwał system szkolny systemem ogłupienia: wszyscy tak go nazywamy. Lecz gdy zaczął z przerażeniem spostrzegać, że dzieci pod wpływem nakazów nauczyciela boją się posługiwać swą ojczystą mową, zadrżało w nim serce Polaka-patryoty. Powiedział dzieciom, że grzechem jest, żeby polskie dzieci modliły się po niemiecku.

Wywiązała się sprawa sądowa. Czyż tajemnicą mógł być dla kogo jej przebieg? Ksiądz przed sądem zeznał śmiało i otwarcie, co mówił dzieciom i matkom. A gdy go zapytano, czy i teraz uważa za grzech, gdy dzieci polskie modlą się po niemiecku, bez wabania to potwierdził, bo tak mówiło mu sumienie Polaka-patryoty.

Żyjemy jednak w tych smutnych czasach, gdy gwałt zadawać sobie trzeba, gdy tacić się trzeba ze swym patryotyzmem. — Wobec obrotu, jaki wzięły rzeczy, ksiądz-patryota zrzec się musiał probostwa....

W sprawie tej doszedł nas poniższy

List Matki Polki.

„Poszanowanie, jakie mamy dla kapłanów, cześć, jaką ich otaczamy, należy im się nietylko jako przedstawicielom wiary świętej katolickiej, ale też jako przedstawicielom i obrońcom najdroższych naszych narodowych świętości: języka. Jestem kobietą, na po-

lityce się nie znam i nie mogę dobrze pojąć, w jaki sposób patryotyzm i poczucie obowiązków swej narodowości może stanąć w sprzeczności z przepisami Wiary św., ale jako katoliczka-Polka uczyłam się pacierza z ust mojej matki po polsku i z ręką na sercu powiadam, że grzechem jest, aby polskie dzieci modliły się po niemiecku. Bo wiara nasza tak zrosła się z poczuciem naszej narodowości, że jedno bez drugiego ostać się nie może: a zbrodnią jest przeciw naszej polskości zapierać się naszego języka. Wyparłabym się własnego dziecka, gdyby kiedykolwiek kalać miało swe usta, bośmy nie mniej winni sobie zachować naszą narodowość, jak naszą wiarę. Dla tego też oby jak najwięcej było tych, co stoją na straży narodowości, co są sumieniem narodu i co powtarzać nam będą: „Grzechem jest, jeśli polskie dziecko modli się po niemiecku.

Wielkopolanka.“

Czołem! przed taką matką.“

Proces toczył się w dniu 1 b. m. przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Poznaniu pod przewodnictwem dyrektora sądu ziemiańskiego, p. dr. Felsmanna, przesiedlonego do nas od kilku tygodni z Wrocławia. Prokuratora zastępował nadprokurator, p. dr. Isenbiel, a sprawy bronił p. mecenas Chrzastowski z Poznania.

niem pełnem zapалу do ojca, nie zwracała uwagi na rzeczy zewnętrzne. Dziecinny jej umysł nie nauczył się jeszcze badać życia w jego ukrytych tajemnicach i jak wszystkie dzieci, wpadała łatwo z jednej ostateczności w drugą -- z głębin rozpacz, do szczytu szczęścia. A przytem ojciec otaczał ją najkłiwszą czułością, a pani Helena pozwoliła jej nazywać ją po imieniu; powróciła więc do Białej-Góry, oczarowana i ze swobodą w sercu.

Na przyszłą wiosnę, skończywszy lat dwanaście, przystąpiła do pierwszej komunii świętej. Akt ten, do którego przysposobil ją ksiądz proboszcz z Ludki, cała ją przeistoczył i bujną jej naturę przyjął gorącą pobożnością. Ubrana w skromną niebieską sukienkę, z twarzyczką oświetloną ogniem wewnętrznym, nie roztrągnięta bynajmniej zewnętrzną próżnością ubrania, ukłękła ze świecą w rękę pomiędzy ubóstwem i biedą i z jasnowidzeniem głębokiej duszy dziecięcej, wyhodowanej pod czystym niebem wiejskim, wśród istot uczciwych i dobrych, pejęła majestatyczną wielkość tej ogólnej uczy, do której wezwani bez wyboru i bogacz i nędzarz, gdzie niema, jak na ziemi, stopni hierarchicznych i przywilejów, ani pierwszego ni ostatniego miejsca!

VIV.

O pewnej, stałej porze roku, zjawiał się regularnie w Białej Górze ubogi westarz, jowialny i ucułowaty. Przy-

bycie jego zwiastowało ogólną radość. Już na kilka godzin przed spodziewanym przyjazdem wybiegali wszyscy o zmroku na zakręt drogi, wyglądając wózka wysłanego sianem, na którym się miękko kołysała wesoła postać brata Pacyfika. I kaźden patrzył „czy aby nie zapomniał skrzynki ze skrzypcami“, z których tak wesoło ydobyć umiał melodye.

Ledwo braciszek zsiadł z wózka, zaraz się całe roje dziatwy do niego cisnęły, a i starsi go serdecznie witali, on zaś rozdzielał paciorki i obrazki świętych pięknie malowane. Pan Sawiński wprawdzał kwestarza do dworu i wnet zasiadano do wiecierzy, której końca nikt się już doczekać nie mógł. Wreszcie otwierały się drzwi salonu, dokąd otwartymi na roścież oknami dochodziła woń róż i lipowego kwiecia.

Pan Jan wraz z gośćmi zasiadł w półkolu, z boku z pod werendy zaglądała ciekawie służba dworska, a nieco dalej tłumy wiejskiej gawiedzi.

Wreszcie, wśród ciszy ogólnego oczekiwania, przerywanej tylko szmerem liści i brzęczeniem muszek i komarów, poczynał brat Pacyfik nastrojać skrzypki. Z początku wydawał dźwięki niewyraźne, jak gdyby chciał smyczek wypróbować, potem wołał:

— Zagram wam kołomyjkę, a potem mazura!

I jednie pociągał smyczkiem, a krótkie jego paluszki/ przebiegały po strunach coraz szybciej, coraz szybciej, aż

w głowie się mąciło, a on się coraz bardziej zapalał i raz po raz tylko nagłym ruchem gęste jasne kędziory w tył głowy zarzucał.

Wtedy, gdyby czar jaki przebiegał żyły ukrytych w cieniu słuchaczy; wnet tworzyły się pary i po całym ogrodzie poczynaly poruszać się o świetle księżycy bosc nogi i nóżki wiejskich mofodyc i różnych chłopaków w cichych, później coraz głośniejszych płasach; tymczasem wysoka arystokracja z kredensu, garderoby i kuchni raczyła również bawić się w sieni i na kurytarzach.

Braciszek zaś, jakby dla dodania otuchy przystępował i raz po raz głośno zahuknął na wiwat.

Wreszcie, Micia, nie mogąc miejsca dotrzymać, wstawała i z uśmiechem wyciągała rączkę do dziadka. Pan Jan odzyskiwał wtedy siły młodzieńcze i chwytając drobną rączkę wnuczki:

— Mazura! — wołał donośnym głosem — zobaczysz jak to dawniej mazura tańczono.

I skłaniając się grzecznie, posuwistym krokiem zawodził po sali, a dziewczątko lekko, zgrabnie się unosiło, zatrzymując dech w piersiach i promieniejąc cała.

— Doskonale, Michalinko — wołał zdyszany dziadek i prostował się jak mógł, aż wreszcie zmęczony, przystawał i szukał bliskiego fotelu.

Gdy tak raz wesoło tańczono we dworze, zajechał pan Mirski z synem Konradem. Starzec, jak zwykle, minę

Powód do wytoczenia oskarżenia dały następujące słowa zamieszczone w liście powyższym: „Wyparłbym się własnego dziecka, gdyby kiedykolwiek kalać miało swe usta

Wyraz inkryminowany kalać tłumaczył na niemieckie sekretarz sądu i tłumacz, p. Fromm „beschmutzen“, „besudeln“, „beflecken“, na co nie zgadzał się p. obrońca, twierdząc, że tłumaczenie w tym przypadku jest mylne, i wniósł o zapozwanie w tym punkcie jako rzeczoznawcy, konserwatora Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, p. dr. Erzepkiego. Prokurator zaś z swej strony zaproponował obecnego świadka, radcę policyjnego, p. Zachera, na co się nie zgodził pan obrońca, oświadczając, że osoba ta nie może być w tym przypadku rzeczoznawcą. Prokurator nie godził się znowu na osobę p. dr. Erzepkiego i twierdził, że rzeczoznawcą powinien być fachowo uczony lingwista Niemiec. Tutaj proponuje pan obrońca na rzeczoznawcę profesora języków słowiańskich, dr. Brücknera z Berlina. Sąd odrzucił po długiej naradzie wszystkie wnioski, uważając za słuszne wszystko to, co zeznał w tym punkcie tłumacz, pan Fromm.

Po ukończeniu ustnych rozpraw prokurator w długim przemówieniu obstawał we wszystkich punktach przy oskarżeniu — oświadczwszy — że artykuł powyższy wywołał czasu

swego wiele wrzawy w szerokich kołach publiczności, mówił o „obrazie katolickiego Kościoła w Niemczech“ i t. d. i wniósł o karę więzienia czterech tygodni względnie jednego tygodnia na oskarżonych.

Pan obrońca w pięknej, dzielnej i świetnej obronie zbił punkt po punkcie wywody prokuratora i pouczył go, że o katolickim Kościele w Niemczech mowy być nie może, bo Kościół katolicki nie ma słupów granicznych i jest na całym świecie jednym i niepodzielnym. Szkoda, że dla braku czasu i miejsca nie możemy przytoczyć więcej punktów ze świetnej i dzielnej pod każdym względem obrony. Pan obrońca oświadczył kategorycznie, że w tej sprawie o wykroczeniu przeciw § 166 wcale nie może być mowy, odwołał się w tym punkcie na rzeczoznawcę, księdza kanonika i regensa seminarium duchownego w Poznaniu, Jedzinka i wniósł o zapozwanie tegoż jako rzeczoznawcę, oraz o odroczenie sprawy względnie o uwolnienie oskarżonych.

Sprawa zakończyła się dopiero około godziny 6-tej wieczorem, i to, dzięki świetnej i dzielnej obronie, dla wszystkich oskarżonych wyrokiem uwalniającym ich od winy, kary i kosztów.



miał opryskliwą. Mówiono sobie po cichu, że zaszyły kwasy pomiędzy ojcem i synem, ex re wiercenia studni, którą stary zacofaniec pragnął powierzyć zupełnie wiclaczowi Jazowiczowi, tenże mu bowiem wmówił, że śmiało pomysły młodego inżyniera całą okolicę do góry nogami przewrócić mogą.

— Witajcie, przyjaciele, jak widzicie, wesoło nam czas upływa.

Konrad zdał się być zamyślonym. Pan Jan wziął go na bok i żywo zapytał:

— Więc cóż? co zrobisz? czy jedziesz do Ameryki?

— Zamierzam wyjechać jeszcze w tym tygodniu. Ojciec się gniewa, lecz jeżeli, gdy wrócę z nabytymi wiadomościami nie zmienię uporu, ha! to wtedy mi nie nie pozostanie, jak usługi moje ofiarować innym.

Tu muzyka z świeżym zagrzmiała zapalem.

— Dalej, Konradzie, otrząśnij czarne myśli i zastąp mnie — rzekł starzec — jużem się zdyszał, lecz wnuczka moja niezmordowana.

Żaden Polak, choć nie wiem jak zły nie wytrzyma, gdy usłyszy rażnego mazura. To też Konrad pochwylił rączkę Mici i tupnąwszy w posadzkę, porwał ją na drugi koniec sali. Ona zaniepokojona, płonąca, z biciem serca, wyginała zgrabnie figurkę, przebierała nóżkami, a ośmielając się coraz bardziej wedle taktu muzyki

pochylała smętnie slichną główkę lub wznosiła ją wesoło z żywym blaskiem modrych oczu. A całe towarzystwo podziwiało te dwie wdzięczne istoty, które ręką w rękę krążyły, jakby czarem jakim odziane.

— Brawo! — wołał pan Jan uradowany.

Nawet stary pan Mirski wyrażał zadowolnienie:

— W to mi graj! Otóż szlachetny taniec, któremu żaden nie dorówna! Nie ma to, jak polskie nasze tańce. W Kanie Galilejskiej Pan Jezus i Najświętsza Paniątka z pewnością nie tańczyli niemieckiego walca, ani skocznej polki, w której się dama w pas chwytać pozwoli i skacze w koło pokoju, jak oparzona. Gdzież tam, musieli tam tańczyć wspaniałego poloneza i szlachetnego mazura!.. Tram ta tam tam, tram ta tam!.. — I stary szlachcic mimoli w takt muzyki jał naśladować wspaniałe poruszenia narodowego tańca.

Brat Pacyfik ostatni raz smyczkiem pociągnął, a Konrad kończąc szalonym oberkiem, poważnie przykląkł i poniósł do ust drobną rączkę uroczej tancerki.

Dziewczynka zapłoniona, uciekla na werendę, chowając rączki w fałdach sukienki. Młodzieniec ją doścignął, usiadł przy niej na ławce ogrodowej i rzekł:

— Gdy powrócę z Ameryki, panna Micia będzie już dorosłą panną.

Ona oczy nań podniosła:

Boże coś Polskę!

„Boże coś Polskę,“ to dźwięki *Wiary*
W melodyą tonów zakłętę,
To śpiew cierpiącej za kraj ofiary,
To dźwięki wielkie i święte!

„Boże coś Polskę“, to hymn *Nadzieji*,
Że Bóg nam łaskę Swą zwróci,
Kiedy się modlim w życia zawiei,
To pieśń ta cieszy — nie smuci!

„Boże coś Polskę“, to śpiew *Miłości*,
To kornych dzieci błaganie,
To śpiew marzącej, czystej młodości:
„Wolność nam zwrócić chciej Panie!“

Dla „Pracy“ J. G.

DOBRA SŁAWA.

„Sława, to piękna rzecz, warto na nią pracować.“ *Słowacki.*
„Ludzie więcej się lekają sądu ludzkiego niż głosu własnego sumienia.“

Każdemu człowiekowi zależy na tem, aby wyrobić sobie u ludzi cześć i poważanie, uzyskać ich szacunek i mieć, jak to powiadają „dobre imię“. Pragnienie to jest wrodzone i zupełnie naturalne, to też, gdy zdarzy się, iż ten lub ów sławę twą naruszy, obrazi cię, wtedy gniewasz się o to bardzo, a nawet aż na drogę sądu udajesz się i żądasz, ażeby tego człowieka, który ciebie nie szanuje ukarano.

O tę obrazę „honoru“, jak u nas powszechnie mówią, czyli po polsku powiedziawszy, o naruszenie dobrej sławy, ciągle prawie odbywają się w sądach rozprawy — toczą kłótnie i swary, krzyku i gniewu, co niemiara.

— Jakże? Jeśli mnie kto obrazi, nazwie mianem złodzieja, czy człowteka

— Jakto, pan wyjeżdża? to dlatego pan taki smutny?

— Zkąd to panienka wie?

— O, ja wszystko widzę.

Uśmiechnął się gorzko:

— Lecz panna Micia zawsze wesoła.

— Nie zawsze. — I cień przemknął po jej czole. — I ja bylam smutną... gdy papa się ożenił — i dodała z cieniem wątpliwości w głosie: — ale papa jest szczęśliwy... nieprawdaż?

— Zapewne, musi być bardzo szczęśliwym — odrzekł Konrad, lecz Micia nie pochwyliła szyderstwa w jego głosie.

— Ja codzień się za niego modlę — dodała niewinnie.

Konrad powstał.

— Czy pani zechce i za mnie się pomodlić, gdy będę na morzu?

Micia spojrzała nań poważnie:

— Owszem — odrzekła — nie zapomnę o tem.

W godzinę potem, stara Pawłowa, pomagając paniące przy rozbieraniu, rzekła jej z przebiegłą miną, niekoniecznie w porę:

— Gdy panienka Micia będzie miała lat dwadzieścia, to właśnie z pana Konrada dla niej mąż będzie. Co za ładna para!

(Ciąg dalszy nastąpi)

nieuczciwego, mam to przyjąć spokojnie i nie usprawiedliwić się, ani żądać wynagrodzenia?

Na to pytanie odpowiadamy w następujący sposób.

Co to jest cześć, czyli dobra sława człowieka?

Jest to sąd drugich ludzi wydany o człowieku im znanym, którzy powiadają, że ten lub ów jest religijny, uczciwy, szlachetny, litościwy, pracowity i t. d.

Dobra sława idzie w ślad za cnotami.

Jeżeli więc ktoś żyje cnotliwie a w ślad za tem idzie ta „piękna rzecz“, dobra sława, czy mogą ją źli ludzie zdeptać, zbrudzić, odebrać?... Mogą rzucić potwarsze, oczerniać niewinnie, mogą wyszukiwać złe tam, gdzie jego nie ma, ale sławy dobrej tak długo nie odbiorą jak długo jej sobie człowiek sam nie odbierze. Jeżeli chcesz, aby ciebie drudzy szanowali — szanuj najpierw sam siebie. Pamiętaj o tem, że masz godność chrześcianina i Polaka uczyć swym życiem należycie, a wtedy choćby sto głosów wołało, że jesteś złym i brudnym, ty będziesz spokojny, bo *sumienie two* będzie sędzią najlepszym. Cóż pomoże, że sędzia orzeknie, iż ty jesteś poczciwy, jeśli sumienie two niepokoi cię i tego sądu nie daje? Cóż pomoże, jeśli obłudą zyskasz u wielu poklask i sławę człowieka szlachetnego, czystego, sprawiedliwego, jeśli życie two nie będzie potwierdzeniem tej sławy? Dobra sława wtedy może być niewzruszenie trwałą, jeśli wypływa z czystego jak łąź źródła, to jest z życia pełnego cnót. Bez tego jest to pajęczyna, którą lada wiatr drze w kawały — lada słowo depce i strąca w dół, a choćby ją sądy latały jak mogły i rozmaite wpływy naprawiały nadarmo wszystko...

Sława to piękna rzecz, warto na nią pracować powiedział Słowacki i my powtarzamy za nim... warto starać się o to, aby powiedziano o nas, żeśmy ludzie szlachetni i nieskalani, żeśmy poczciwi i godni szacunku.

Ale w tem właśnie sztuka iż trzeba na to pracować. Nie procesami po sądach, nie klótnią i krzykiem, ale całym życiem trzeba sobie dobrą sławę zdobywać. Ten i ów, jest dzielny, energiczny, gorąco Ojczyznę miłujący — pracuje gdzie może... mówią o nim — a! to dzielny patriota... ale cóż — tu lub tam ów patriota zdradzi się z tem, iż urąga cześci kapłańskiej, wyśmiewa się z przykazań i żyje sobie bardzo swobodnie...

Ten ma wiele cnót — szanują go ludziska — ale... raz — drugi dziesiąty widzimy go pijanego. Tamten nie pije — nie gra... ale językiem tak szczypie, iż jest mordercą sławy drugich. Ten nie dba o żonę dzieci, ów z wrogami idzie ręką w rękę i tak dalej i tak dalej, ogromnym szeregami po za cnotami suną się winy i wady, a wtedy pytamy... czyż są to ludzie, którzy mogą mieć dobrą sławę?...

— Ludzie są ludźmi, bez winy nie ma nikogo, odzywa się głos usprawiedliwiający.

Wiemy o tem zanadto dobrze i dlatego kamieniem na tych nie rzucamy, ale chcemy, aby i ci, którzy nie są bez win, nie dobijali się o wielką cześć, szacunek i sławę znamienitą, gdy ideałami nie mogą być nazwani.

Są okoliczności, stany — położenia, w których szeregów ludzkie pagną wi-

dzieć same cnoty, a gdy znajdują plamy, żalą się, zniechęcają i wołają: — oto patrzcie! ci ludzie błędzą!...

— Czem kto wyżej stanął w większy trud się wpręga — czem kto posiada większe wykształcenie — wyższy urząd, godność znakomitszą, tem więcej i tem mozolniej musi się starać o to, aby dobrą sławę zyskał, aby świecił przykładem, aby cześć dla niego opartą była na *czci jego cnót*. Wszystko jedno kto — chłop, magnat — rzemieślnik — prostak czy filozof... jeśli nigdy *sam siebie* nie splamili złym czynem, dobrą sławę zdobędzie i przekaże ją dzieciom jako cenną spuściznę. Kto zaś raz jeden zbłądził, a tego nie naprawił i z upadku nie podniósł się — cześć nie zdobędzie i dobrego imienia nie posiadzie. Porzućmy więc procesa — klótnie — obrazy. Co one dadzą?... Starajmy się o czyste, szlachetne, podniosłe życie... szanujmy swą godność i nie splammy swego czoła, a wtedy cześć naszej i sławy nikt nam nie odbierze i staniemy się godni nazwy synów wielkich bohaterów — sławnych Polaków.

Przy krzyżu.

W krzyżu nadzieja, w krzyżu zbawienie,
W krzyżu pociecha i odpocznienie.
W krzyżu ratunek, i wsparcie silne,
W krzyżu mądrości prawdy niemyłne.

Więc idź do krzyża, gdy ból cię gnębi
I świat swym fałszem serce two ziębi,
Gdy ci lzy gorzkie z ocz ciągle płyną,
Krzyż ci pociechą będzie jedyną.

Nie mów, że Bóg ci daje nad siły
Nieść od kolebki krzyż do mogiły,
Lecz wzmacniaj ducha — posil go cnotą,
Krzyż ci da szczęścia pochodnię złotą.

Temu krzyż ciężki — kto jak morderca
Wytepił wszystkie cnoty wśród serca,
Kto zabił wiarę — nie zna miłości,
Żyje bez jutra wiecznej przyszłości.

Ale kto kocha i wierzy szczerze,
Ten krzyż w ramiona bez trwogi bierze.
Bo wie, że w krzyżu *cisza, zbawienie,*
Pociecha, prawda i odpocznienie.

Jubileusz Deotymy

(Jadwigi Łuszczewskiej)

znakomitej poetki-improvizatorki urodzonej i zamieszkałej w Warszawie, odbył się w czterdziestą piątą rocznicę jej pierwszych improvizacji w dniu 27 z. m. w mieszkaniu jubilatki. Jeden z naszych illustrowanych tygodników temi słowy rozpoczął życiorys jubileuszowy Deotymy:

„Przed laty 45-ciu, w maju, w tym czarownym, według poetów, miesiącu róż i słowików, nad szarą Wisłą naszą, wychylił się z pączka precudny kwiat poezji, zabrziała pieśń zachwycająca z ust natchnionej dziewicy — dziewczeczki raczej, co ledwo że z dziecięcych lat wyszła“.

Obchód jubileuszu ściągął bardzo liczną rzeszę gości, głównie uprawiaczy niwy literackiej.

Na cześć jubilatki wybito w Krakowie medal pamiątkowy. Również ofiarowano jubilatce książkę pamiątkową, za-

patrzoną w tysiące podpisów, nadesłanych z kraju i z zagranicy. Między dostojnymi gośćmi był także profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor Krzymuski, i odczytał powierzone sobie prześlizne powinszowanie Akademii krakowskiej.

Nadeszły także bardzo liczne telegramy z bliska i z daleka; między nimi był telegram od przeora O. O. Paulinów z Jasnej Góry w Częstochowie, donoszący o odprawieniu na intencją jubilatki wotywy przed cudownym obrazem Matki Boskiej, w odwzście za poemat jubileuszowy o Jasnej Górze.

Kółko poetów złożyło Deotymie wieniec laurowy i arę z kwiatów, przyczem I. K. Jasiński wypowiedział stosowny wierz. Drugi wieniec złożyło grono autorek.

Deotyma kilkakrotnie przemawiała precudnemi wierszami improvizowanemi, wywołując wśród gości entuzjazm niesłychany. Improvizacye te były najpiękniejszem uwieńczeniem obchodu i największym jego urokiem. Niestety! brakło stenografów, którzyby je spisali, i perły te precudne zaginę dla literatury naszej, ale wrażenie po nich na zawsze pozostanie w sercu słuchaczy.

W książce pamiątkowej złożono razem z podpisami wiele pięknych utworów poetycznych, z których podajemy następujący pióra Antoniego Pileckiego:

Deotymie.

O! módl się za nas, poetko natchniona,
Co ku niebiosom wyciągasz ramiona!
O! módl się, pieśni aniele skrzydlaty,
Stający dumnie na grobowców straży,
Z tą myślą twórczą, co duchami marzy,
A na łąn życia roni natchnień kwiaty!

O! módl się za nas, biało wieszczko wiary,
Wznosząc ku niebu gmach gotyku stary
Pieśnią, rzeźbioną w koronek marmury —
Gmach, w którym marzą cherubinów czoła,
Gdzie duchy anioł zmartwychwstania woła,
Gdzie na lzy ziemi Bóg spogląda z góry!

Wieszczko! Ty z bólów ssiesz soki żywota!
Śmierć Ci wskazuje wieczysta tęsknota,
Grób widzisz życia lepszego kolyską...
Więc módl się za nas tą pierśnią, co każe
Na grobach — życia powzność ohtarze,
Nie wierząc w nędznej nicości zjawisko!

Z boleści ziemskich łez nie brałaś w oczy,
W swych ideałów patrząc świat uroczy,
W szlaki pogodne i jasne bez końca...
Podaj nam, wieszczko, kraj szaty swej białej,
By duchy nasze wraz z Tobą wlatowały
Tam gdzie Bóg wieczne pozapałał słońca!

Na prochy ziemi, w mroków dżdżystych cienie
Ruc natchnień Twoich preczyste nasienie!...
Łan lilij białych z pod stóp nam wyrosnie...
I dzień słoneczny ujrzymy na ziemi
Pójdziemy w przyszłość drogami jasnymi,
Marząc o szczęścia wiekuistej wieśnie.

Przez duszę Twoją, jak przez źródło łoża,
Spływa natchnienie, o lirniczko Boża —
Nieba na ziemi skrzydlaty zwiastunie! —
Więc módl się wieszczko, i ręką kapłana
Kielich, goryczy wznieś za nas do Pana!
Na dźwięk twych hymnów gmach zwątpienia
[runie!

Dziwy fakiryzmu.

Nauka nie zdołała dotychczas objaśnić istoty zadziwiających sztuk magicznych, wykonywanych przez fakirów indyjskich. Istota tych sztuk ma podobno polegać na potężnej sugestyi, jaką magicy indyjscy wywierają na widzów. Oto, co pisze jeden z poważnych podróżników, który przyczyn nie stara się wykazywać, notuje tylko fakty tak, jak mu się kolejno przedstawiały. Wybierzmy z nich nieznanne dotychczas.

Na pustym placu ustawiono namiot, osłonięty ze wszystkich stron zwojami płótna. Za namiotem stały gęste krzaki. Fakir zapytał, jakie mianowicie zwierzę chcemy ujrzeć. Zażądaliśmy, aby nam pokazał bawołu. Po chwili z namiotu wybiegło zwierzę żądane, przebiegło przed nami i ukryło się w krzakach. Drugi z widzów zażądał tygrysa królewskiego. Po kilku sekundach wyskoczył z namiotu pyszny okaz tygrysa rodzaju i znikł w krzakach tajemniczych. Jeden z widzów, chcąc zakłopotać fakirów, zażądał pokazania zwierzęcia w Indyach nieznanego, mianowicie kangura. Jakoż udało mu się wprowadzić magików w zakłopotanie. Oświadczyli, że nie rozumieją, czego od nich chciano. „To nic — odrzekł widz — poznam zwierzę, jeżeli mi się ukaże“. Wahanie fakirów trwało przez czas jakiś, ku najwyższemu jednak zdumieniu obecnych po dziesięciu minutach oczekiwania z namiotu wybiegł kangur żądany.

Druga sztuka jest pospolitsza: jeden z fakirów wziął z rąk jednego z obecnych długą linę i koniec jej rzucił w powietrze. Lina zawisła na wysokości 30 stóp nad ziemią na niewidzialnym jakimś punkcie oparcia. Obecni po kolei zawieszali się na linie, następnie jeden z fakirów chwycił sznur i zaczął się po nim wdrapywać do góry. Na wysokości 30 stóp usiadł w przestrzeni i zaczął wciągać linę za sobą.

Ale oto szereg doświadczeń nieznanych, wykonywanych przez jednego z magików w Simli. Magik odebrał od widzów laski, z których jedna, należąca do generała angielskiego, była trzcina, okutą w srebro. Na stoliku postawiono naczynie szklane, napełnione wodą. Magik włożył koniec trzciny w wodę i trzymał ją w ten sposób przez parę minut. I oto w oczach widzów z końca trzciny, zanurzonego w wodę, zaczęły wychodzić korzenie, które niebawem wypełniły całe naczynie. Po paru znów minutach dał się słyszeć trzask i w górnej części trzciny zaczęły ukazywać się kielki, wyrastające szybko w oddzielne gałązki. Parę sekund jeszcze, a na gałązkach zjawily się liście i kwiaty. Następnie magik okrył naczynie chustką, a po chwili, gdy zdjął zasłonę, oczom widzów ukazała się laska generała, tkwiąca po dawnemu w wodzie naczynia.

Wspomniano następnie magikowi o zadziwiającej sztuce, polegającej na umieszczeniu dziecka pod koszem i przebicju tegoż kosza szpadą. Krew się z kosza leje, z wnętrza dochodzą krzyki rozpaczliwe dziecka, a po chwili, po podniesieniu kosza, dziecko ukazuje się nietknięte. „To drobnostka!“ — rzekł fakir — „pokażę wam doświadczenie analogiczne“. Jakoż zdjął ze ściany perski jatagan i przystąpił do jednego z obecnych. „Boisz się?“ — zapytał. — „Nie“ — brzmiała odpowiedź. „A więc wierz, a ujrysz“.

Po tych słowach oparł koniec jatagana na piersi widza i przycisnął.

„Ostrze zaczęło powoli wchodzić w ciało. Czulem doskonale, że jakiś przedmiot wchodzi we mnie, nie odczuwałem jednak bólu, jeno jakieś uczucie przejmującego chłodu, jakbym pił napój zamrożony. Po pewnym czasie koniec jataganu wyszedł przez plecy, fakir zaś wetknął go w słupek z drzewa cedrowego, przy którym stałem. W ten sposób byłem przypięty do słupa, jak motyl na szpile. Po paru minutach fakir zaczął wyciągać jatagan z ciała, na którym po wyjęciu ostrza nie pozostało ani śladu rany.“

Wróżka Napoleona I-go

Dnia 27 go maja 1772 roku ujrzała w Alençon światło dzienne jedna z najosobliwszych kobiet, panna Lenormand, najsłynniejsza wróżka wszystkich czasów, która przepowiedzieć miała, jak utrzymują wielką rewolucyą francuską, dyktoryum, konsulat, cesarstwo, przewrót lipcowy i inne ważne historyczne wypadki. Czy przypadek rzeczywistości tak dziwnie zrządził, że przepowiednie jej się spełniły w tak osobliwy sposób, któżby mógł to dziś stwierdzić? Pewnem jest tylko, że Napoleon I wierzył mocno w przepowiednie tej osobliwej kobiety, przez co przyczynił się do ustalenia jej sławy.

Przez pięć dziesiątek lat mieszkała Lenormand w małym, zwyczajnym domu w Paryżu przy ulicy de Tournon pod liczbą 5-tą. Tablica, zamieszczona nad wchodem do mieszkania parterowego miała napis: „Mlle. Lenormand, libraire“. Nazwała się księgarzka, mogła się tak nazwać, gdyż sprzedawała własne książeczki z przepowiedniami, a tytuł „wróżka“ był wtedy, zarówno jak dzisiaj, wyszydzanym, chociaż się miało klientelę głów ukoronowanych i najwyższej arystokracji.

O każdej porze dnia można było odwiedzić wróżkę paryżką. Pokój jej był zawsze umeblowany skromnie, ale czysto i wesoło, chociaż mogła być sobie pozwolić na najwyższe luksusy. Nie było w nim ani trupigłów, ani ludzkich szkieletów, ani też innych osobliwych i wrażliwych ozdób, któremi zwykle wróżki w mieszkaniach swych usiłują wywrzeć wpływ mistyczny. Panna Lenormand siedziała na otomanie, głowę jej zdobiła przepyszna płowa peruka i dziwny perski turban, zresztą przyodzianą była w strój zwyczajny, mieszczkański.

Konsultacyą u wróżki tak opisują:

Wskazawszy gościowi miejsce naprzeciwko otomany, zapytała się go panna Lenormand interesująco zwyczajnym tonem: „Jaką grę życzysz pan sobie za 6, 8, 10, 20, do 200 franków?“ Gdy gość podał cenę, wróżka obejrzała jego lewą rękę, zapytała go o wiek, kwiat jego ulubiony i o zwierzę, którem się najbardziej brzydzi itp. Następnie wzięła karty, kazała je zdjąć klientowi lewą ręką i rozłożyła je na stole, nakrytym zielonym obrusem i z pewnym a utkwionym silnie wzrokiem w karty rozpoczęła wróżbę, którą wypowiadała płynnie w słowach zrozumiałych zupełnie.

Lenormand kształciła się w klostroze Benedyktynek w Alençon: celowała w nau-

kach, a zwłaszcza obdarzona była talentem poetyckim. Sztukę wróżenia przywoić sobie miała w latach dziecięcych. Już w siódmym roku przepowiedziała złozenie z urzędu ksieni, za co ją ukarano aresztem; przepowiedziała także, kto będzie następczynią ksieni.

Mając lat 18 Lenormand osiedliła się w r. 1790 w Paryżu. Rozpoczęła właśnie swój zawód w czasie, w którym gwałtowne wypadki zeszłego stulecia poruszyły żywo umysły wszystkich. Smutne procektwa płynęły z jej ust, a płochy świat paryżki wysmiewał je. Pewnego dnia przybyło do niej trzech młodych ludzi; wróżyła im jak zwykle, z kart, poczem powiedziała z powagą: „Wszyscy trzej poniesiecie śmierć okrutną“. Pan, mówiąc, wskazując na pierwszego, otoczony błogosławieniem narodu i do bóstwa wywyższony, a panowie, wskazując na drugiego i trzeciego, otoczeni przekleństwem narodu. Śmiejąc się, rzucili młodzi ludzie pieniądź złoty kabalarce i odeszli. Byli nimi Marat, Robespierre i St. Just.

Gdy Marat zginął od sztyletu, gdy lud z tryumfem ciała jego zaniósł do panteonu, zaczął być Robespierre, widząc spełniające się procektwo, bardzo niespokojnym, tym więcej, że Lenormande nie przestawała przepowiadać smutnych procektw, więc na rozkaz jego wtrącono wróżkę do więzienia, z którego wówczas szło się zwykle na rusztowanie.

9 ty Thermidor ocalił także życie Lenormand i przywrócił jej wolność. Prześladowanie Robespierre'a otoczyło ją nowym nimbusem. Wszyscy dążyli do niej, aby się dowiedzieć o przyszłości. Pewnego razu przybyła do niej młoda dama w grubej żalobie, która straciła męża pod toporem gilotyny. Lenormand pocieszyła w smutku pogrążoną, zapewniając ją, że wielkie spotka ją w życiu szczęście, gdyż będzie żoną panującego. Damą w żalobie była Józefina Beauharnais, która niedługo potem wyszła za mąż i to za małego, nieznanego generała, nie mającego majątku i będącego bez pewnej przyszłości. Pani generałowa, marząc o przepowiedni, spowodowała małżonka, Bonapartego, do pojscia z nią do kabalarki. Jakież było zdumienie Józefiny, gdy Lenormand zawołała: „W przyszłości pani nic się nie zmieniło!“ Wtedy Bonaparte, śmiejąc się, podał rękę wróżce, a Lenormand miała do niepozornego i wówczas nieznanego oficera z entuzjazmem następnę głośno wyrzec słowa: „Zwycięzca w stu bitwach, zbawca rzezypospolitej, założyciel dynastyi, zwycięzca Europy“. Bonaparte rozśmiał się, ale nagle przybrał poważną minę i powiedział: „Będę się starał wyroczeni pani przynieść zaszczyt“.

Napoleon sprzyjał przez czas Lenormand, a cesarzowa Józefina stała się jej najlepszą przyjaciółką. Lecz gdy jej później Lenormand przepowiedziała rozwód, kazał Napoleon wróżkę wtrącić do więzienia, z którego ją później uwolniono.

W roku 1809 stała się Lenormand przez swe procektwa w Paryżu nawet tak niebezpieczną, że ją wydalono z Francji. Osiedliła się w Brukseli, gdzie wydawała pismo pod tytułem: „Souvenirs prophétiques d'une sibylle sur les causes de son arrestation“, w którym przepowiedziała upadek Napoleona. Napoleon taką miał obawę przed wróżką że udało mu

się pismo to zniweczyć, które dopiero w roku 1814 mogło wychodzić po powrocie Lenormand do Paryża.

Gdy Napoleon powrócił do Francji, oczekła Lenormand znowu do Brukseli, ząd wróciła po upadku Napoleona do Paryża, gdzie żyła aż do śmierci jako znakomita i uprzywilejowana wróżka. Lista tych, którzy u niej zasięgali rady, wykazuje najznakomitsze osobistości. W roku 1818 pojechała na kongres do Akwizgranu, drugim między innymi wróżyła z kart cesarzowi Aleksandrowi.

Wielkie też wrażenie wywarły wydane przez nią pamiątki p. t. „Memoires historiques et secrets de l'impératrice Josephine“, które doczekały się kilku wydań.

Na schyłku życia zajęła się kształceniem uczennic w kabalarstwie, ale żadna ani przeciętne nie wykazała talentu swojej mistrzyni.

Lenormand dorobiła się znacznego majątku. Biedny jej kuzyn z Algieru stał się po jej śmierci naraz bogaczem wielkim. Cały świat z wielkim upragnieniem czekał na pośmiertne wydanie jej licznych rękopisów, które podobno niewykształcony kuzyn sprzedał osobie, nie przejmując sobie, aby były ogłoszone drukiem. Wydano tylko w Paryżu biografię słynnej wróżki, która nie zawiera żadnych nowych szczegółów o tej znakliwej kobiecie.

KOLEJ MIŁOŚCI.

Gdy słońca ziemię w kwiaty ubrały,
Dwa młode serca się pokochały...
Były tam szepty, były westchnienia,
Były przysięgi, rąk uściśnienia...
Świat cały śmiał się do nich radośnie,
Było to w maju, w ich życia wiosnie.

On z róży leśnej i macierzanki,
Z polnych bławatów spletał jej wianki,
Ona mu za to piosnki śpiewała,
Raz nawet pukiel swych włosów dała.
Głęboko w oczy sobie patrzeli,
W młodego szczęścia morzu tonęli.

Lecz gdy jesienią mróz zważył kwiaty,
Z drzew wiatr pozywał zielone szaty,
Poznał się ojciec na ich miłości,
A że posiadał herb, liczne włości,
Zakazał pannie kochać młodziana
I tak została miłość — przzerwana.

On załamywał z rozpaczny dlonie,
Napisał w liście, że „w smutku tonie“
Panna błędny z żalu dostała
I do klasztoru wstępować chciała.
Znana piosenka — sny młodociane
Zostały wolą ojca — zerwane.

Zima nadeszła, zima minęła,
Znowu się kwiatem ziemia okryła,
Z cieplic słowiki, gile wróciły
I po dawnemu w gaju nucily.
Znów się niejedna para kochała,
Znowu na lodzie zamki stawiała.

Nasza paniątka z bielutką rączką
Wróciła także... z złotą obrączką.
Męża znalazła gdzieś aż w Abacji,
Młodnego męża, pełnego gracyi,
Z monoklem w oku, z pachnącą chustką,
Pełną kieszenią, lecz w sercu — z pustką.

A nasz młodzieniec? nie myślcie panie,
Że mu szkodziło rozczarowanie.
Z szczęściem uderzył do młodej wdowy
I znalazł u niej chleb już gotowy.
Taka to dzisiaj kolej miłości
We wieku pary, elektryczności.

Witold Leitgeber.



Przedruk wzbroniony.

Opiekun.

NOWELKA.

I.

Pod gwiazdzistym niebem Afganistanu, przed namiotem oficerów, siedziało dwóch wojskowych: jednym z nich był major Jerzy Vandeleur, służący przy białych lancierach, drugim Allan Mainwaring, bardzo jeszcze młody porucznik kirasierów.

Major Vandeleur był mniej więcej 40-toletnim, bardzo przystojnym mężczyzną, ale chmura smutku ocieniała jego czoło i mroczyła oczy, jaśniejące zwykle odwagą i wesołością. Młody Mainwaring, wierny jego towarzyszy, był wysokim, szczupłym, brunetem, i cieszył się ogólną sympatią. Z prawdziwą dumą i zadowoleniem dotykał raz po raz palcami maleńkiego wąsa — od kilku bowiem tygodni dopiero posiadał tę ozdobę swojej ładnej, promieniającej życiem twarzy.

W tej chwili jednak nie śmiał się wcale. Spojrzał z boku na majora, który zamyślony westchnął ciężko.

„Jesteś pan dziś smutnie usposobionym“, rzekł serdecznie młodzieniec. „Czy otrzymałeś jaką niedobłą wiadomość? Uważałem, że miałeś dużo listów, może...“

„Nie“, przerwał Vandeleur, prostując się natychmiast. „Przeciwnie — wiadomości z ojczyzny bardzo były pomyślne. Pomimo to jestem rzeczywiście dziwnie przygnębionym. Nie mogę się pozbyć smutnego przecucia, jakie mnie nagle opanowało.“

„Może winna temu cisza nocy“, rzekł młodzieniec.

„Może! Wejdźmy do namiotu“, odpowiedział major, wstając, a po chwili dodał zaraz: „Masz pan siostry?“

„Nie, ani braci, jestem sam na świecie!“

„Oh! Żyje ojciec pana jeszcze?“ zapytał, nie zważając na ostatnie jego słowa.

„Nie! Mój ojciec umarł przed piętnastu laty, gdy byłem małym chłopcem, matka zaś jeszcze wcześniej.“

„Nie masz więc nikogo?“

„Nikogo, ani nawet krewnych“, rzekł Allan obojętnie. Widocznie brak rodziny nie dał mu się nigdy uczuć.

„Ach“, westchnął major, „żał mi cię bardzo. Okropnie to być samemu na ziemi, a cóż dopiero, jeżeli taką opuszczoną, samotną istotą jest młoda dziewczyna.“

„Może być, co do mnie, to jestem zupełnie z mego losu zadowolonym. Przyzwyczaiłem się do tego i dobrze mi na świecie, w towarzystwie moich towarzyszy i przyjaciół.“

„A twój opiekun?“

„O, mój opiekun, to stary, leniwy skąpiec! Nigdy się o mnie nie troszczył, i z jego winy o mało nie wypadłem w ręce lichwiarzy i nie straciłem całego majątku. Musiałem żyć z szczupłych dochodów i ledwie mogłem pozostać przy wojsku. Do-

piero w przeszłym roku, gdy zostałem pełnoletnim...“

„To pan jesteś już pełnoletnim?“ przerwał major zdziwiony.

„Tak, skończyłem wnet dwadzieścia i dwa lat. Mój opiekun nie chciał pozwolić, abym został oficerem, i z tego powodu doznałem wiele nieprzyjemności.“

Vandeleur stał ciągle jeszcze przed namiotem.

„Dziwna rzecz“, odezwał się znowu po chwili, zapalając cygaro, ale mam takie przecucie, że kraju tego nie opuszczę już nigdy. Umrę tutaj!“

„Ach, co tam, ja w przecucia nie wierzę!“

„I ja nie, a pomimo to myśl ta przesładuje mnie nieustannie. Biedna moja córeczka!“

„Córka! Nie wiedziałem wcale, że pan jesteś żonatym“, zawołał Allan.

„Żona moja umarła przed pięciu laty, i oprócz córki nie mam też nikogo na świecie. Nieszczęśliwe dziecko! co się z niem stanie po mojej śmierci?“

„O, pan tutaj nie umrzesz“, starał się Allan pocieszyć majora, chociaż sam już teraz nie wierzył w to, co mówił, przynajmniej jest to bardzo nieprawdopodobnem. Takie zaś smutne myśli, to najgorsze zajęcie, jakiemu się człowiek oddać może. Otrząśnij się pan z tego.“

„Dobrze“, odrzekł Vandeleur z lekkim uśmiechem. „Idźmy do reszty towarzystwa.“

Obydwaj weszli do namiotu i po chwili zdawało się, że major zupełnie o swych troskach zapomniał.

Allan żałował w duszy „pięknego majora“, który mu zawsze wiele okazywał życzliwości, pomimo to odetchnął lżej gdy się ujrzal pomiędzy innymi, wesołymi oficerami. Nie lubił smutnych twarzy i ponurych myśli.

„Niech licha weźmie takie przecucia“, rzekł sam do siebie, nalewając kieliszek wina, „nie chciałbym, aby mnie męczyły, a cóż dopiero tego biednego Vandeleura, który został w domu dziecko!“

Następnego dnia stoczono krwawą walkę z nieprzyjacielem; mnóstwo angielskich żołnierzy poległo na placu boju, kilkunastu oficerów ciężkie odniosło rany, pomiędzy nimi major Vandeleur.

Kilka godzin po ukończonej walce, gdy Allan Mainwaring wrócił do obozu, zbliżył się do niego jeden z podoficerów i zapytał:

„Jesteś pan porucznikiem Mainwaring?“

„Tak!“

„Major Vandeleur jest niebezpiecznie ranionym, zdaje mi się, że długo żyć nie będzie. Pragnie gorąco zobaczyć pana, czy chcesz iść ze mną do niego?“

„Naturalnie! Natychmiast! Gdzie go złożono?“

„W jego mieszkaniu. Wskażę panu drogę.“

I po trzech minutach wchodził Allan tak, jak wrócił z pola walki, odkryty krwią i kurzem, do pokoju, w którym leżał umierający major Vandeleur. Pomimo, że siedział ostrożnie i cicho, posłyszał ranny szelest jego kroków i otworzył oczy, które zdawały się nie widzieć już nikogo.

„Majorze!“ szepnął młodzieniec przytłumionym głosem, pochylając się nad łóżkiem, a głęboki żal ścisnął mu serce na widok nieszczęśliwego.

„Przeczenie moje spełniło się — umieram“, odparł Vandeleur ledwie dosłyszalnie. „Chciałem panu powiedzieć — to jest prosić —“

„Gdzie doktor?“ zawołał Allan, sądząc, że nadeszła ostatnia chwila rannego. Ale major otworzył znowu oczy.

„Nie wołaj nikogo“, szepnął. „Jeszcze nie koniec. Chciałbym cię o coś prosić...“

„Uczynię wszystko, co w moich siłach! Mów pan — słucham!“

„Moja córka — moje dziecko — zostanie sierotą — samą — a ja nie zrobiłem testamentu — nie —“

„Więc podyktuj mi pan...“

„Kapłan Vickers pisze już — rozmówiłem się z nim, ale ona musi mieć opiekuna. Mainvaring — chcesz być jej opiekunem? Chcesz?“

„Naturalnie“ — zawołał młodzieniec. W tej chwili byłby wszystko przyrzekł, byleby uspokoić umierającego.

„Jesteś młodym“, mówił Vandeleur dalej coraz ciszej, „ale masz szlachetne serce, i jesteś dzielny i dobrym.“

„Przyrzekam panu, że z całej siły starać się będę o szczęście dziecka twego.“

„Zostawiam jej — niewielki majątek — ale — to wystarczy dla jej utrzymania — proszę — zawołaj Vickersa...“

Głos majora stawał się coraz słabszym — Allan pobiegł więc po kapłana, który też właśnie ukończył pisanie testamentu, i na życzenie umierającego umieścił w dokumencie następujące uzupełnienie:

„Porucznik Mainvaring jest opiekunem i zarządcą całego majątku mojej jedynej córki Mary, mieszkającej chwilowo w Londynie. Kensington — u pani Templeton.“

„Jest to jeden z najlepszych zakładów wychowawczych...“

„Pamiętaj o — przyrzeczeniu — moje dziecko ukochane...“

Były to ostatnie słowa majora. Zaledwie zdolał podpisać nazwisko na testamentie, gdy Bóg odwołał duszę jego do krainy wiecznego szczęścia i spokoju. Umarł z przekonaniem, że wypełnił sumiennie wszystkie swoje obowiązki względem ojczyzny i córki.

Allan Mainvaring był odtąd odpowiedzialnym za losy biednej, małej sieroty, której wcale nie znał.

„Dziwne to moje położenie“, pomyślał, opuszczając mieszkanie majora. „Jestem opiekunem dziewczynki, a nie wiem nawet, ile ona ma lat i jak wygląda! Co z nią zrobić? No, w każdym razie uczynię dla niej wszystko, co będę mógł, już przez sam wzgląd na jej ojca!“

II.

Od owego dnia minął rok cały. Allan znajdował się znowu w Londynie po raz pierwszy od chwili, w której został opiekunem Mary Vandeleur. Przełożona pensji, ms. Templeton była oddawna już o wszystkim uwiadomiona; on sam doniósł jej, że na mocy testamentu majora, jest opiekunem dziecka, że spodziewa się, że dziewczynka jest zdrową i że już przestała płakać po stracie ojca. Ponieważ zamierza pozostać jeszcze w Indiach, przeto adwokat jego będzie dalej płacił jej sumę wyznaczoną przez majora. Na list ten otrzymał kilka razy wiadomości od mrs. Templeton. Pierwszym razem wyrażała swój żal z powodu śmierci Vandeleura, donosząc zarazem, że Mary nie widząc ojca trzy lata, nie odczuła tak boleśnie

straty jego, jak inne dzieci, żyjące zawsze razem z rodzicami, że jest wesołą, zdrową i szczęśliwą.

„Biedne dziecko“, pomyślał Allan z litością, „kto wie, czy to prawda. Później przekonam się sam o-wszyskiem.“

Następne listy były krótkie i zawierały po największej części kilka słów tylko: „Mary jest zdrowa, uczy się pilnie, robi dobre postępy, i przesyła opiekunowi uprzejme pozdrowienia.“

Po przeczytaniu każdego takiego listu, mówił Allan z westchnieniem:

„Biedne dziecko!“

Po upływie roku zachorował niebezpiecznie na febrę — lekarze wysłali go czempredzej do Anglii, i tak z końcem maja stanął w Londynie. Odzyskawszy zupełnie zdrowie, postanowił przedewszystkiem odwiedzić małą sierotę w Kensington, z którą, pomimo, że jej nie znał, bliżsi go wiązał stosunek.

Pewnego dnia zajechał przed dom pani Templeton, i pociągnął mocno dzwonek.

Na zapytanie jego, czy przełożona jest w domu, otrzymał krótką odpowiedź „tak“, i został wprowadzonym do ogromnego ponurego pokoju, do którego nigdy pewnie nie zaglądały promienie słońca.

„Brr, tu jak w grobie“, rzekł w duszy, oglądając się wokoło.

Nagle otworzono drzwi, i na progu stanęła wysoka, wytwornie ubrana kobieta w podeszłym wieku. W rękę trzymała wizytową kartkę gościa, a oczy jej spoczęły z niudanem zdumieniem na twarzy młodzieńca.

„Pan porucznik Mainvaring?“ zapytała nareszcie.

„Tak jest!“

„Opiekun Mary Vandeleur?“

„Tak! Zdaje się, że to panią trochę dziwi“, odrzekł Allan z uśmiechem.

„Przyznaję, że jestem mocno zdziwioną. Sądziłam, że major wybrał kogoś — starszego, i...“

„Wybrał!“ przerwał Mainvaring, „ach pani biedny major nie miał żadnego wyboru! W ostatniej chwili był zmuszonym wziąć pierwszego lepszego!“

„Więc zechciej pan przejść ze mną do mego pokoju“, rzekła mrs. Templeton, „tam jest zaciszniej, jak tutaj. Przysięgam panu Mary, ja zaś muszę się oddalić, albowiem uczennice czekają na mnie!“

„O, proszę, niechaj pani nie krępuje się bynajmniej moją obecnością.“

„Mary przyjdzie zaraz“, rzekła, gdy weszli do małego, jasnego, wytwornie urządzonego saloniku.

Pomimo, że jasne i ciepłe słońce majowe oświecały cały pokój, palił się na kominku ogień, jak to zwykle w Anglii bywa. Allan wpatrywał się w tysiące iskier i myślał właśnie o pięknej dużej lalce, którą kupił dla Mary, gdy usłyszawszy cichy szelest sukni za sobą, obrócił się szybko, i stanął jak wryty.

Młoda, śliczna, jasnowłosa dziewczynka zbliżała się ku niemu, zarumieniona i uśmiechnięta.

„Dzień do — dzień dobry“, wyjąkał, nie wiedząc, co mówi, „ależ pani nie jesteś Mary Vandeleur!“

„Tak“, odrzekła, podnosząc swoje ciemne, szafirowe oczy, które odziedziczyła po ojcu.

„Pani jesteś dorosłą, a ja — ja są-

dziłem, że jesteś małą dziewczynką i przyniosłem ci lalkę!“

Mary wybuchła serdecznym śmiechem. „Ach, jak to zabawnie!“ zawołała. „Ale czy papa nie panu o mnie nie mówił?“ dodała poważnie.

„Nie, wspomniał dopiero dzień przed śmiercią, o swojej córce, ale ja myślałem, że pani masz najwięcej z siedem lub ośm lat!“

„O, skończę w przyszłym tygodniu siedemnaście! Mrs. Templeton powiada, że jestem już zupełnie dorosłą.“

„Nigdy w życiu nie byłem tak zdziwionym! I ja mam być opiekunem pani! Co za niedorzeczność!“

„A jednak tak jest“, szepnęła z uśmiechem. „Będę też we wszystkim słuchać rady pana bardzo chętnie, ale daruj pan, wyglądasz sam tak, jak gdybyś potrzebował jeszcze opiekuna!“

„Może być“, odrzekł, śmiejąc się. „Pani Templeton patrzyła na mnie z prawdziwym przerażeniem, i teraz dopiero widzę, że miała wszelki do tego powód!“

„Oznajmując mi przybycie pana, rzekła: twój opiekun przyjechał i chce cię zobaczyć, ale nie przestrasz się, jest to bowiem młody oficer!“

„Nie mogę tego niestety zmienić! Nie prosilem ojca pani o to, aby mnie mianował twoim opiekunem, i nie pojmuję, dla czego to uczynił!“

„Biedny papa“, westchnęło dziewczę, „on nigdy nie zważał na zwyczaje i przepisy towarzyskie. Jeżeli mu się kto podobal, to nie pytał o zdanie ludzi, i było mu zupełnie obojętnem, czy świat poel walał, czy potępiał jego wybór. Z tem wszystkiem miał wiele szczęścia, bo rzadko kiedy doznał zawodu.“

Słowa te zawierały wielkie pochlebstwo dla Allana, tem większe, że Mary mówiła je bezwiednie.

„Nie wiem“, rzekł po chwili milczenia, „co mi teraz uczynić wypada. Opiekunem pani powinien być albo jaki stary, grymasny, kłótlivy kawaler, albo człowiek, mający kapryśną i niezdolną żonę, któraby panią ciągle lajała. To są osoby zdane na opiekunów. A że ja jestem młodym i nie mam żony, przeto mogę się tylko starać o uprzyjemnienie życia pani. Chciałabym naprzykład wyjechać ze mną do Hyde-Parku?“

„Mrs. Templeton nie pozwoli!“

„Zapominasz pani, że jestem twoim opiekunem! Nie wolno mi odmawiać — mam bowiem wszelkie prawo zabrania cię na małą wycieczkę, i nie myślę z praw moich nikomu ustępować.“

„Mrs. Templeton nie pozwoli!“

„Zapytajmy jej!“

„Dobrze! Muszę przyznać, że lubię bardzo Hyde-Park, i że chętnie bym tam pojechała!“

Mrs. Templeton okazała się nadspodziewanie dobrą i uprzejmą, i nie tylko, że pozwoliła Maryjechać do Parku, ale nado zaprosiła Allana na kolację, pod warunkiem, że pokaże jej lalkę, którą kupił dla swej mniemanej małej pupilki.

Odtąd bywał Allan codziennie w domu mrs. Templeton, która nie mogła mu niczego odmawiać, jako prawnemu opiekunowi Mary. I tak zwiedzali oboje cały Londyn, a koleżanki młodej dziewczyny zazdrościły jej niezmiernie takiego opiekuna.

„Pójdźmy dziś do galerii Doré'go“,

rzekł Allan pewnego dnia, gdy znowu się razem wybrali na przechadzkę.

„Byliśmy tam już dwa razy“, odpowiedziała zdumiona.

„Ach, o to nie chodzi! Jest to jedyne miejsce, gdzie można rozmawiać spokojnie, bez świadków!“

Poszli więc do galerii Dorégo, w której o tej porze nikogo prawie nie było.

„Mary“, zaczął Allan, siadając obok niej na wygodnej kanapce, „myślałem w tych dniach dużo o naszej przyszłości. Stosunek mój do ciebie, jako opiekuna do pupilki, jest niedorzecznością. Trzeba to koniecznie zmienić!“

„Ale w jaki sposób?“ zawołała przestraszona. Była bowiem niezmiernie zadowolona z obecnego położenia rzeczy i nie życzyła sobie żadnej zmiany. „Jeżeli pan nie masz czasu zajmowania się mną, to niepotrzebujemy wychodzić tak często na miasto. Jedna z moich koleżanek ma także opiekuna, u którego bywa raz w tygodnie.“

Szafirowe oczy dziewczęcia patrzyły na niego tak błagalnie, że serce Allana zaczęło uderzać mocniej i prędzej...

„Nie rozumiesz mnie, Mary“, szepnął, ujmując jej rękę, „ja chciałbym stosunek nasz zmienić o tyle, że — że będziesz moją — na zawsze — rozumiesz?“

„Żoną twoją?“

„Tak, moją ukochaną żoną!“

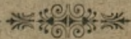
„Ale mrs. Templeton nie pozwoli, ...“

„Zapominasz, że pozwolenie zależy jedynie odemnie!“

Obrazów Dorégo nie oglądali już dzisiaj, a gdy wyszli na ulicę, promieniały piękne ich twarze najwyższem szczęściem i zadowoleniem.

„Mary najdroższa“, szeptał Allan, przyciskając jej rękę do serca.

„Przyszło mi w tej chwili na myśl“, odrzekła zarumieniona, „że papa zrobił najlepszy dla mnie wybór na świecie! A lalkę, którą mi kupiłeś, schowam sobie na wieczną pamiątkę, był to bowiem pierwszy podarunek od mego — opiekuna!“



(Przedruk uzbrojony).

Drogi kogut.

HUMORESKA.

W stolicy odbywał się kermasz, pomimo to w pracowni notariusza pisaliśmy od rana do wieczora, a gdy nareszcie w sobotę zamknąłem wszystkie książki i wybrałem się do domu, uderzyła na zegar miejskim godzina ósma. Nasz pryncypał był dziś w wyjątkowo dobrym humorze, tak, że poczęstował nas nawet kilku szklankami wybornego, mocnego grogu. Nie byłem przyzwyczajonym do tego napoju, to też wyszedłszy na ulicę, uczułem najpierw pewien zawrot głowy, potem zaś wpadłem w jakiś rodzaj wesołego szalu, i postanowiłem, wbrew moim zwyczajom, przechadzać się po mieście.

Poszedłem więc przedewszystkiem na Amstelfeld, gdzie podczas kermaszu najwięcej było gwaru i ruchu i gdzie zabiłem dosyć długo, oglądając najrozmaitsze budy jarmarczne. W końcu zatrzymałem się w rogu placu, kolo jakiegoś małego niepozornego namiotu. Stało tu mnóstwo ludzi, a właściciel budy, zwany młody Francuz, siedział na beczce, okrytej czer-

wonem sukmem, i wołał już może po raz tysięczny dnia dzisiejszego.

„Spróbujcie szczęścia, moi państwo! Otóż tu nowe koło Fortuny — un sou le carton — pięć centów — los — a za to możecie wygrać rozmaite żywe zwierzęta — kaczkę, królika, kurę pour la soupe — voyez messieurs, jaka tłusta gęś — los za pięć centów — rrrr koło się obraca, numer wychodzi, volaille on gibier — wolny wybór — los za pięć centów, j'en ai encore dix, jeszcze dziesięć — qui veut ruiner Jean-Pierre — un sou le carton!“

„Tutaj, tu“, odezwało się kilka głosów, i ja także uczułem nagle chęć spróbowania szczęścia.

„Par ici — deux“, zawołałem wyciągając rękę z dziesięciu centami. W zamian za pieniądze otrzymałem dwie kartki z grubego papieru, ogromnie zatłuszczone i zapisane nawpół nieczytelnymi liczbami. Potem oczekiwałem niecierpliwie wyniku gry.

Nie trwało to zbyt długo. Po upływie pięciu minut były wszystkie losy rozdane — mniej więcej 60 — a wśród głębokiego, uroczystego milczenia, wprawił Jean-Pierre w ruch koło swej rulety. Po kilku szybkich obrotach zatrzymało się ono na numerze 21 szym.

„Vingt et un — dwadzieścia i jeden! et qui? Komu? wołał Francuz:

Podniosłem z tryumfem jedną z kartek.

„Vingt un!“ zawołałem uradowany.

„Faites votre choix, monsieur! Wybieraj pan! Gęś, kaczka, kogut, królik, wybieraj pan!“

W tejsze chwili podniósł się kogut, piękny, złotopióry ptak, wyciągnął hardo i dumnie głowę z kosza, w którym siedział, zatrzepotał kilka razy świetnie barwnymi skrzydłami i zapiał z całej siły:

„Kukuryku!“

Był to wspaniały ptak! Nie mogłem mu się dłużej opierać!

„Koguta“, zawołałem, „dawaj mi pan koguta!“

Jean-Pierre porwał ptaka, trzepoczącego gwałtownie skrzydłami, i podał mi go z wysokości swej beczki, mówiąc poważnie:

Voici, monsieur, trzymaj go mocno!“

Rada ta była dobrą, ale trudną do wykonania, kogut bronił się rozpaczliwie, z wielką tylko biedą i natężeniem wszystkich sił, zdołałem go utrzymać!

„O kogucie“, rzekłem wzruszony, częścią grogiem a częścią mojem szczęściem niespodziewanem, i przepychałem się zwolna przez niezliczone tłumy, o „kogucie, symbolu czujności, siły i odwagi, jakże dobrze byłoby na świecie, gdyby ludzie przykład z ciebie brali! Niejeden mąż mógłby ci zazdrościć powagi i umiejętności trzymania w ładzie i spokoju twoich licznych żon! Haremu nie mogę wprowadzić dla ciebie urządzić, ale pociesz się — niema piękniejszego i swobodniejszego życia, jak życie kawalerskie! Mówię to z doświadczenia! — Nie zgadzam się wcale pod tym względem z zapatrywaniami Mormonów, i gdyby nazwisko Brigham Young nie było tak dziwnem, to dałbym ci je, ale pomimo to otrzymasz inne, równie piękne — otóż nazwę cię Baszą!“

Wkrótce potem siedziałem w moim pokoju na trzecim piętrze i starałem się o wszelkie wygody dla mego gościa.

Zamknąłem starannie drzwi, zapaliłem lampę, poczem dopiero puściłem Baszę na wolność. Przez kilka godzin zachował się spokojnie. Ale potem podniósł znowu kilka razy skrzydła, jak dla wypróbowania swoich sił, wyciągnął zeszytniałe członki, i zaczął chodzić po pokoju, oglądając uważnie każdy przedmiot okrągłemi, błyszczącymi oczami. Zdaje się, że przechadzka ta bardzo go zadowoliła, nie uważał jednak widocznie na to, że zegar na kominku wskazywał pięć minut przed pierwszą. Nagle bowiem zapiał cztery razy raz po razie, i to głosem, któryby może w podwórzu nie brzmiał nieprzyjemnie, ale który w domu, pełnym śpiących ludzi, wydawał się podobnym do głosu trąby jerychońskiej.

Zadrzałem z przerażenia!

„Boże wielki“, pomyślałem, „wszakże krzykacz ten pobudzi całe sąsiedztwo!“ Jakim sposobem zmusić go do milczenia?

Nareszcie zdawało mi się, że wymyśliłem coś bardzo mądrego. Rzuciłem mu kromkę suchego chleba, którą zaczął natychmiast chciwie dziubać. Ale twarda skóra chleba oraz silny dziób Baszy sprawiły na podłodze ogromny łoskot, mianowicie w ciszy nocnej — w każdym razie można to już było znieść łatwiej, niż jego pianie.

„Dzięki Bogu“, rzekłem, teraz ma zajęcie i będzie milczał.

Ukołysany tą nadzieją położyłem się znowu do łóżka i zasnąłem.

Ale jakaż to okropna była noc!

Nie wiem, czy Basza, mając dziób pełen chleba, piał dalej, to tylko pewnem, że co parę minut słyszałem to straszliwe kukuryku, i że nerwy moje były do najwyższego stopnia nadwyreżone.

Około trzeciej dopiero zdawał się wrócić do przytomności, ujrzałem go bowiem siedzącego na poręczu fotelu na jednej nodze i z głową wsuniętą pod skrzydło — zmęczony się widocznie i usnął.

Uradowany, nakryłem się kołdrą po uszy, chcąc w części chociaż powetować bezsenność noc.

Ale spokój ten nie trwał długo — zaledwie bowiem wybiła siódma, gdy ktoś silnie zapukał do drzwi. Ubrałem się w jednej chwili, otworzyłem podwoje, i ujrzałem na progu zasnąłą gospodynią domu, w bardzo rannym stroju a złą i groźną, jak gdyby była inspektorem policji.

„Proszę mi powiedzieć, mruknięła, wchodząc do pokoju, „czy pan tu masz przypadkiem koguta?“ Basza, zbudzony jej głosem, zatrzepotał wesoło skrzydłami i zleciał z swej improwizowanej grzędę. Nie mogłem więc zataić jego bytności, i odpowiedziałem po prostu:

„Tak!“

„Ależ to być nie może, mój panie! Wszyscy lokatorowie skarżyli się, że nie mogli spać całej nocy, i ja sama nie zmrzyłam oka!“

„O, mój kogut odzwyczaił się tego piania“, pocieszałem ją, „jest to nawyknienie z czasów jego wolności wsi, ale to minie z pewnością!“

„W takim razie radzę panu, oducz go wnet tego“, brzmiała szyderezka odpowiedź, „inaczej wyrzucę pana i jego z mieszkania!“

Rzekłszy to, odwróciła się, trzasnęła silnie drzwiami i znikła.

„Było mi lepiej wzięść królika“, pomyślałem sobie teraz.

Basza, spoglądał w czasie naszej sprzeczki raz na gospodynię, raz na mnie, i pochyliwszy głowę, stał w kącie pokoju, wpatrując się nieustannie w jedno miejsce.

„Może czuje sam niewłaściwość swego zachowania się“, pomyślałem uradowany. Ale po kilku minutach wyciągnął szyję i zaczął znowu płać z całej siły. Tym razem jednak nie pozwoliłem mu dokończyć — z groźnie wyciągniętą ręką pobiegłem ku niemu, nakazując milczenie. Kogut, przestraszony, podlatywał przedemną, uderzał się o ściany i krzesła, i ostatecznie wleciał na stół, ściągając z niego serwetę, do której przyczepił się ostre jego pazury. Szczęściem nie było na stole nic takiego, co by się stłuc mogło — jeden tylko dzwonek nikłowy spadł na ziemię z przeraźliwym łoskotem i fałszywym dźwiękiem. W końcu zmęczony, nieprzytomny z strachu, wskoczył na poręcz łóżka, i tam usiadł, nie mogąc prawie oddychać!

„Aha, mam cię, niedźniku“, krzyknąłem i już — już go miałem w rękach — gdy nagle wyrwał mi się znowu i wleciał na kominek, na którym stał zegar, zwierciadło, przybory do pisania, oraz maszynka na spirytusie. W jednej chwili leżało wszystko potłuczone i połamane na ziemi.

„Przeklęty ptak“, wołałem, tracąc wszelkie panowanie nad sobą. Złość dodała mi tyle siły i zręczności, że teraz już jednym zamachem udało mi się pochwycić niegodziwca. Nie wiedząc, co robię, otworzyłem okno, i wyrzuciłem go bez ceremonji.

Ale zaledwie zamknąłem okno, usłyszałem na dole przeraźliwy krzyk kobiety.

„O Boże! O Boże!“

Równocześnie dał się słyszeć brzęk stłuczonego szkła i porcelany, i zaraz też wzmógł się na ulicy straszliwy hałas, zbliżający się coraz to bardziej do moich drzwi. Na schodach rozlegały się ciężkie kroki męzkie — potem zapukano znowu, i gdy stanąłem na progu, ujrzałem w sieni przynajmniej z dziesięć osób, rozmawiających bardzo żywo i głośno. Z całego chaosu słów rozróżniałem najlepiej „doniczki“ i „szyby“. Nareszcie zrozumiałem wszystko!

Mój kogut, który nie potrafił latać, spadał zwolna na dół w ukośnym kierunku i zatrzymał się na oknie pierwszego piętra, zrzucając kilka doniczek z kwiatami. Doniczki spadły na szyby przechodzącego właśnie sklarza który niósł je na plecach, i przerażony chłopiec, nie wiedząc, co się dzieje, rzucił swój cały ciężar na ziemię. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ani jedna szyba nie została cała. Właścicielka doniczek żądała trzy guldeny za poniesioną stratę, szklarz pięć — było to trochę dużo, ale nie mówiąc ani słowa, zapłaciłem wszystko!

Najgorsze jednak, że pomimo tego wydatku nie pozbyłem się jeszcze koguta. Los chciał inaczej — byłem wskazany na większe jeszcze nieprzyjemności.

Zaledwie zostałem sam, w biegną do pokoju, mała mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka, i zawołała bez tchu prawie: „Proszę, zabierz pan natychmiast swego koguta! Wleciał do sklepu pani Bickers i tłucze wszystkie garnki i miski. Pójdź pan — prędko!“

Zrozpaczony, wybiegłem na ulicę i

wpadłem do wskazanego sklepiku, przy którego drzwiach stało kilka kobiet, usiłujących złapać nieszczęsnego Baszę. Właścicielka zaś misek i garnków krzyczała w niebogłose, wskazując mi cały stos skorup. Rzeczywiście — spustoszenie było tu ogromne, a ja goniąc przekłętą ptaka, tłukłem swoją drogą miski i talerze. Gdy go nareszcie schwytałem, otrzymałem równocześnie taki rachunek za zniszczone przedmioty, że włosy mi stanęły ze strachu na głowie. Musiałem jednak przyrzec, że wszystko zapłacę.

Trzymając koguta obydwoma rękami, poszedłem z nim do jednej — restauracyi, znajdującej się na końcu tejże ulicy. Kazałem zawołać gospodarza, i zapytałem go bez żadnych wstępów:

„Chcesz pan kupić koguta? Daj mi za niego, ile sam chcesz, o cenę nie chodzi mi wcale!“

Gospodarz spojrzął na mnie podejrzliwie.

„Poczekaj pan chwilę“, rzekł poważnie.

Potem szepnął kilka słów jednemu z kelnerów, który uśmiechnął się i wybiegł natychmiast na ulicę.

„Teraz kupię go“, odezwał się znowu gospodarz, obracając się do mnie. „Sprzedasz mi go pan za 30 centów?“

„Bardzo chętnie“, odpowiedziałem, „dosyć już z nim miałem kłopotu“.

Ale zaledwie zacząłem mu opowiadać moje przygody, gdy we drzwiach ukazał się ów kelner w towarzystwie policyanta.

„Dzień dobry, mój panie“, zawołał restaurator, „pozwoliłem sobie prosić cię tutaj. Ten pan, którego wcale nie znam, chce mi sprzedać koguta za 30 centów. Jest mi to podejrzane — mianowicie, że wczorajszej nocy ukradziono kupcowi drobiazgu kilkanaście kur“.

Policyant spojrzął na mnie groźnie.

„Jakim sposobem jesteś pan w posiadaniu tego koguta?“ zapytał szorstko.

Spostrzegłem teraz, że toaleta moja pozostawiała wiele do życzenia, i że wyglądałem rzeczywiście jak złodziej.

„Wygrałem go wczoraj w budzie, na kiermaszu“, odrzekłem zmieszany, i chciałem opowiedzieć wszystkie moje nieprzyjemności, jakich z jego powodu doznałem, Ale policyant nie pozwolił mi przyjść do słowa.

„Milczec“, krzyknął ostro. „Możesz to pan opowiedzieć komisarzowi w jego biurze“.

„Co, więc pan uważasz mnie za złodzieja?“ jęknąłem zrozpaczony.

„Pójdź pan ze mną i nie stawiaj mi oporu, inaczej będę zmuszony użyć kajdany“, upominał stróż bezpieczeństwa. W tej samej chwili uczułem się pochwyconym za kołnierz i wypchniętym na ulicę, podczas kiedy policyant odebrał mi koguta. Była to jedna przynajmniej pociecha w nieszczęściu! Biuro komisarza znajdowało się w bliskości, i po kilku minutach stanęliśmy na miejscu.

Po wysłuchaniu policyanta i sprawdzeniu mojej osoby, posłał komisarz jednego z swoich zaufanych do mego mieszkania, celem wypytania się o mnie, oraz kazał sprowadzić kupca drobiu, któremu ukradziono kury. Posłaniec bawił przeszło pół godziny. Baszę umieszczono tymczasem w jakimś koszu, stojącym w kącie — niegodziwy ptak wyciągał raz po raz szyję

i piał przeraźliwie, a ja drżałem z chęci uduszenia go!

Nareszcie wrócił policyant a z nim przyszedł jakiś stary, gruby jegomość, o twarzy czerwonej, niesympatycznej, i olówkach za uszami. Nie mógł to być nikt inny, jak ów kupiec drobiu.

„Poznajesz pan tego koguta?“ zapytał go komisarz.

Kupiec wyjął go z kosza, obejrzał dokładnie, pocierał starannie pióra, oglądał potem swoje ręce, i powtarzał tę manipulacyą kilka razy.

„No, jakże?“ powtórzył urzędnik niecierpliwie. „Poznajesz go pan?“

„Nie mogę tego powiedzieć napewno“, brzmiała rubaszna odpowiedź. „Kury które mi skradziono, były białe i czarne, ten kogut zaś jest żółto-czerwonym. Może być wprawdzie farbowanym, ale zdaje mi się, że nie jest!“

„Dziękuję“, odrzekł komisarz, poczem zwrócił się znowu do mnie

„Wszystko w porządku, mój panie, urzędnik stwierdził twoje opowiadanie. Żaluję bardzo, że zaszła taka omyłka — jesteś wolnym i możesz iść do domu!“

Nie dałem sobie tego dwa razy powiedzieć, i w jednej chwili byłem już za drzwiami. Nagle usłyszałem tuż za sobą słowa, które wstrząsnęły mnie aż do głębi duszy:

„Zapomniałeś pan zabrać koguta!“
Znękany, przygnębiony, wróciłem do biura.

„Ach panie“, rzekłem wspaniałomyślnie, „pozwól, abym tego nieszczęsnego ptaka zostawił tutaj na korzyść ubogich!“

Komisarz uśmiechnął się złośliwie.

„Przyjmowanie takich darów nie wchodzi w zakres mego urzędowania“, odrzekł uprzejmie, „proszę, zabierz go pan znowu z sobą!“

Nie pozostawało mi więc nic innego, jak wziąć Baszę, i wrócić z nim do domu. Ależ w jaki, do licha, sposób miałem go się pozbyć? Ukręcić mu szyję — brr, tego nie mogłem, gdyby kto inny uczynił, cieszyłbym się bardzo, ale ja sam — nigdy! A więc, co z nim zrobić? Nagle przyszła mi zbawienna myśl do głowy, którą jedynie zawdzięczałem przypadkowi. Przechodząc przez most, ujrzałem zbliżający się ku mnie wóz z mierzwą — a kogut, znający to zapewne z czasów swego pobytu na wsi, wyciągnął głowę i zaczął radośnie trzepotać skrzydłami. Zaczekałem więc, dopóki wóz nie nadjechał tuż do mnie — i korzystając z nieuwagi woźnicy, puściłem go na wolność. Basza w jednej chwili wleciał na wóz, stanął na nim w pozycji zdobywcy świata i poruszał skrzydłami na znak najwyższego zadowolenia. Zdaje się, że woźnica spostrzegł jednak mój czyn, spojrzął bowiem na mnie, uśmiechnął się, i — pojechał dalej.

„Kukuryku!“ dał się słyszeć poże-gnalny okrzyk mego dręczyciela.

Przybywszy do domu, zliczyłem przedewszystkiem wydatki, na jakie mnie Basza naraził. Chociaż mnie czytelnicy wyśmieją i powiedzą: „dobrze ci“, to muszę wyznać, że krótkie szczęście posiadania wspaniałego koguta kosztowało mnie nie mniej ni więcej, jak 59 guldenów i 85 centów“.



BASZTA CECYLI z KOŚCIELCA HR. DZIAŁYŃSKIEJ

OSTATNIEJ z RODU DZIAŁYŃSKICH.

Przedruk uzbroniony.

Skąpana w blasku słońca — ukryta w zieleni
Wznosisz swe dumne czoło ku niebu — wysoko!
Korona cię uwieńcza — herb Działyńskich mieni
Się w złotym blasku chwyci — wdzięcznie wabiąc oko!

Widziałem cię o piękna, o wieczornej porze
Stapałem po twych szczytach... co za widok wzniosły!
Niebo purpurą płonie — woi kwiatów na dworze
Wraz z jękiem dzwonów, wichry zdala ku mnie niosły!

U mych stóp w sinych cieniach — niknie miasto całe...
Głuchnie szelest... milczenie; cisza gdzieś porywa
Ducha... Wtem zmrok zapada... drobne chmurki białe
Walcą z nocą... piętrzą się — lecz je wiatr rozrywa!

I gwiazdka błysła jedna... druga... gwiazd tysiące
Błyszczy na niebios szczycie... Ach! a myśli moje
Wzleciały — jak rój ptaków, gdzie się kryje słońce...
W zamartłą przeszłość... dawne wspominając boje!...

I widzę blask pożarów... słyszę dzikie wycia,
Świst strzał z łuków napiętych... widzę ludów chmary...
Słyszę jak trąby grają... horda błaga życia...
To »hussarze Działyńskich« biją w puch Tatary!

Dalej widzę jak bagnet błyszczy w słońca blasku...
Bieży pułk za Działyńskim... ku wrogom, het w dali...
Błysły strzały... Krakusy pędzą... już są w lasku...!
Działa gwoźdź — i biorą w niewolę Moskali!

Lecz naraz w duszy smutno... czemu gwiazdy chmurą
Zaszły... a na mej twarzy lzy się potoczyły?...
Czemu?... Bo brzmią organy melodyą ponurą
Ostatniego z Działyńskich — kładą do mogiły!

Przed katafalkiem rycerz... Zamoyski w oddali
Staje... łamie miecz... z trzaskiem kruszy tarcz rodową,
»Żegnaj nam mężu zacny! my cię tak kochali!...
Zabierasz nam do grobu — sławę narodową!«

Lecz sfolgujmy smutkowi... rozpacz nie trzeba!...
Jeszcze Matka została... Matka pełna cnoty!
Ona to z wiarą w Boga — koi lzy sieroty,
Z pokorą i miłością, z poświęceń — dla Nieba
I swej Ojczyzny — spleta zasług wieniec złoty...
Wieniec cierpięci — też gorzkich... co idą do Boga!...

Lecz biada nam o biada! Straszne smierci groty
I w Nią wnet uderzają!...

Lecz jest córka droga

Tytusa, Celestyny... godna Siostra Jana!
Kryje ją tu ta baszta... chce być zapomniana!...
Niechajże Ona z nami uprosi u Pana
Aby się zagoiła po Działyńskich rana!

Aby, póki ta baszta w jasny błękit nieba
Patrzy dumnie, na szczycie piastując herb złoty,
Nie zabrakło nam w Polsce tego co potrzeba:
Wiary w przyszłość szczęśliwszą — łączności i cnoty!

A. Kasinowski.

KRONIKA.

Jeszcze rozbrzmiewa słowików słodki
śpiew, jeszcze wiosna roztacza krasny
swych wdzięków, a nawet słońce złocist-
szym się wydaje i łagodniejszym — a

powietrze przesycone świe-
żością zieleni, wonią kwia-
tów rozkwitających i zapa-
chem łąnów zboża, okrytych
pyłem kwiecia, a ta stara
ziemia kołacząca się po prze-
stworach od tyłu wieków
i wdzięcząca się do życio-
dajnego słońca wydaje się
jakby dopiero co była wyszła
z pod tchnienia Bożego —
ten cały wielki, upajający
urok świeżości, młodości i
żywotności otacza „Święta
Zielone“.

To też żadne z świąt na-
szych nie nęci nas tak a już
szczególniej mieszczuchów jak
Zielone Świątki. Miasta w
czasie świąt wymarłe; oży-
wione są za ledwo promenady,
na których zwyczajowo po-
kazuje się w południe świat
wielki i mniejszy. Po odde-
ptaniu zwyczajowej prome-
nady, po zamienieniu spoj-
rzeń ognistych lub drwiących,
po zaprezentowaniu modnego
kostiumu lub świeżutkiego
garnituru, na który jeszcze
pan mistrz krawiecki, jak
na swoją własność patrzy —
promenady się wyludniają.
Za to po południu rozpoczyna
się wędrówka ludów. Od
razu poznasz, że to wyprawa
za miasto, bo papa dobrodziej
idzie pod ręką z małżonką
— przed nimi wózek z dwój-
giem najmłodszych, w ruch
wprawiany przez pannę, któ-
ra najmniejszą uwagę zwraca
na dzieci — a tem więcej
strzela okiem do osbników
w mundurach, a na dziesięć
kroków przed wózkem pod-
skakuje reszta błogosławień-
stwa Bożego, najrozmaitsze-
go wzrostu, wieku i przy-
miotów.

Najdroższe nasze dziatki,
niosą w rękę zapasy, które
mają być spożyte przy piwku
lub kawie. Nie obędzie się
bez tego, aby nasze najdroż-
sze po drodze nie zajrzały
do skarbów i nie wylawiały
z świątecznego placka kilku
rodzenków — w czym są zu-
pełnie podobne do komisji
obradującej nad słynną usta-
wą p. Reckiego, który w sej-
mie stwierdził brak najpię-
kniejszych rodzenków, które
własnoręcznie wsadził w to
zakalec średniowieczności
obciążone pieczywo.

Jak pan minister Recke,
tak i matka spostrzeża ten
brak po rozpakowaniu zapá-
sów, ale że winowajców jest
wielu — więc kończy się na kiwaniu
palcem w — trzewiku. Tak samo uczy-
nił pan minister z narodowoliberałami,
którzy wyłowili rodzenki z ustawy, tylko
że nie kiwał im palcem w trzewiku, lecz
w bucie.

Te tłumy mieszczuchów spragnionych
wytchnienia ciągną różnemi bramami na
miejsce koncertów i piwa, do Szeląga,

do Majchrzyckiego, do Debiny, do Urba-
nowa, do ogródków na Wildzie, na La-
zarzu, wogóle wszędzie, gdzie jest napis
„willa“ — albo „ogród“.

Zielone Świątki są dla słowików
gnieźdzących się w ogrodach, „parkach“
w pobliżu miasta dniami wypoczynku,
albo przynajmniej mogłyby one w dniach
tych wypoczywać, bo malcerya w wózkach
i nie w wózkach zastępuje swoim rozko-
sznym kwileniem najzupełniej ich słodki
śpiew, a kapele polskie i nie polskie, woj-
skowe i nie wojskowe, dostrojone lub
przestrojone wtórują temu kwileniu trąbą,
smyczkiem, fletem, bębniem, cymbałem i
puzonem.

Echa muzyk koncertowych i dźwięki
melodyj zapraszających do tańca zapeł-
niają powietrze w całym rejonie forte-
cznym a szczęście, że nie ma pomiędzy
instrumentami kapel tutejszych trąb je-
rychońskich, inaczej padłyby ofiarą silne
okopy warowni poznańskiej, albo przynaj-
mniej poniosłyby szwank w pruski mur
budowane wille, pałacyki i letnie mie-
szkania.

Zajechałem do celu za pomocą wę-
drówek zielonoświątkowych — zajechałem
do latowych mieszkań, budowanych za
miastem. Oglądam je z bliska. — „Hm —
musi być tu ciepło latem, a zimą zimno. —
Przepraszam, omyliłem się, ma być od-
wrotnie, tak mi przynajmniej zalecają,
ale patrząc na te misterne budowle nie-
dowierzająco potrząsam głową.

— Cóż wątpisz o tem? pyta mnie
mój przyjaciel Protazy, który wyszedł
zemną aby przekonać się o ruchu budo-
wlanym za murami miasta Poznania i
rozentuzjazmowany jest tym ruchem —
spekuluje bowiem w „placach“ i ma dużo
cegly na sprzedaż.

— Nie wcale nie wątpię — że to
latowe mieszkania.

— Chcesz powiedzieć, że na zimę
niestosowne. Fraszka to, wobec kerzyści,
że się mieszka na świeżem powietrzu,
zdala od zaduchów miasta.

— Prawda — odpowiedziałem na to,
ale przy tym ożywionym ruchu budowla-
nym za lat dziesięć taka sama ciasnota
panować tu będzie jak w mieście, a czy
potem nie zniknie korzyść świeżego po-
wietrza i nie zostaną niekorzyści wyni-
kające ze zbytniego od centrum oddalenia,
jest to zagadnienie, które pozostawiam
nierozstrzygniętem.

— Tramwaj elektryczny i welocyped!
rzuca mi triumfująco Protazy.

— Ale portmonetka i całe kości mil-
sze — odrzekłem z flegmą.

Nie przekonał się — w czym się
bynajmniej nie różnimy od wielu ludzi i
dzienników, które od lat zapełniają łamy
pism argumentami za i przeciw, lub którzy
trawią nieomal dnie całe na dysputach a
na końcu doświadczają, że właściwie wię-
cej się od siebie oddalili, aniżeli zbliżyli.
Smutne to, ale prawdziwe.

Tymczasem nie zaprzatajmy sobie
głowy takimi myślami, a idźmy hurmem
do Majchrzyckiego w dniu 6 czerwca, bo
tam jedno z najstarszych Towarzystw na-
szych, „Stella“, wyprawia majówkę, urzą-
dza fantowe gry i najrozmaitsze igrzy-
ska. Kto zaś wyjechać chce dalej, niechaj
jedzie do Antonina, gdzie także odbyć się
ma wielka zabawa ludowa. Wesółych
Świąt.

Gerwazy.

Rozmaitości

Proces dawidowski. We Lwowie rozpoczął się w dniu 28 z. m. proces przeciw 29 włościanom ze wsi Dawidów, leżącej tuż pod Lwowem, oskarżonych o gwałt publiczny, opór w adzy i ciężkie uszkodzenie ciała. Dziesięciu z nich trzymanych jest w więzieniu, dziewiętnastu odpowiada na wolnej stopie. Przedmiotem sprawy jest zamordowanie podczas wyborów do rady państwa w marcu r. b. z kuryi piątej rządcy tamtejszego Stanisława Popiela, który pełnił funkcje rządowego komisarza wyborczego. Sprawa nie poszła pod sąd przysięgłych, ponieważ akt oskarżenia twierdzi, że nie ma pewności, który z oskarżonych zadał Popiolowi cios śmiertelny, zbrodnia może być przeto zakwalifikowana tylko jako »zabójstwo w bóje« czyli jako »ciężkie uszkodzenie ciała« względnie do poszczególnych oskarżonych. Popielniemu zbrodni przypisuje akt oskarżenia agitacyom, prowadzonym na tle faktu, iż znacznej liczbie urlepników i rezerwistów nie zdołano w porę doreczyć kart legitymacyjnych, uprawniających do głosowania. Większość wyborców oświadczająca się za wyborem socjalisty Kozakiewicza, upatrywała w tem wielką intrygę. Podczas wyborów o chwila alarmowano wyborców jęczącymi okrzykami, że dzieją się oszustwa, że Popiel podgląda karty, że ukrywa głosy na Kozakiewicza oddane i t. p. Nareszcie wzburzony tłum wdarł się do lokalu wyborczego; komisya zbiegła do koszar żandarmeryi; tłum wołając: »Popiel skradł papiery wyborcze!« dopadł go. Popiel strzelił dwukrotnie z rewolweru i położył trupem drugiego napastnika. Tłum, pomimo energicznej obrony Popiela przez towarzyszącego mu żandarma, który dał ognia i zabił jeszcze drugiego napastnika, rzucił się na wyczerpaną z sił ofiarę i przy pomocy kiji i kamieni zdruzgotał mu czaszkę tak, że nieszczęśliwy na miejscu ducha wyzionął. Proces w chwili, gdy oddajemy niniejszą notatkę do druku, jeszcze nie ukończony.

Wilk, Dudek, Kos, Lis, Koziół, Zajac, Kanarek. Nie bajka to, lecz sprawozdanie z rozprawy sądowej, która niedawno toczyła się przed sądem w jednym z miasteczek galicyjskich. Woźny Wilk, zaskarżył kupca Kanarkę, (nawiasem mówiąc żydka), o obrażę honoru za to, iż go w sprzeczce nazwał »glupim dudkiem«... Wilkowi nie podobalo się widocznie, że go Kanarek zaliczył do ptaków i obrażony zwrócił się do adwokata dr. Kosa, w imieniu którego pomocnik jego dr. Koziół, wniósł skargę o obrażę honoru. Rozprawa odbyła się przed sędzią dr. Lisem, a jako świadek miał być przesłuchany policjant Zajac. Sędziemu udało się pogodzić zwaśnione strony, Kanarek bowiem cofnął swego »dudka«, wskutek czego dr. Koziół w imieniu Wilka odstąpił od skargi, a sędzia dr. Lis uwolnił od winy Kanarkę. Zajac nie przesłuchany »pokicutał« do domu.

Zbrodnia. Okropną zbrodnią popełniono w Dąbrowie Górniczej w Królestwie Polskiem. Idącą na służbę do Dąbrowy dziewczynę napadło w łasku trzech młodych ludzi, odebrali jej zawiniątko, które zawierało całe jej mienie i jeszcze się nad nią znęcali. Ale na tem nie koniec. Płaczącą dziewczynę napotkał nieco później mężczyzna, który, litując się pozornie nad nią, radził jej, aby się z nim udała bliższą drogą przez las do Dąbrowy, gdzie z pewnością 3 napastników zastanie. Dziewczyna uwierzyła jego słowom, ale skoro zasłzi głębiej w las, nieznajomy dobył noża i wygwałcił jej oba oczy. Nieszczęśliwą dziewczynę zastał przejeżdżający przypadkowo tamtędy woźnica i zabrał ze sobą.

Książę Bismarck hotelistą! Gazety niemieckie donoszą, że książę Bismarck był tuż pod Friedrichsruh położony hotel Petersena. Czy może pragnie lokować w nim swych wielbicieli? Jeżeli tak, to zapewne nie za darmo!

Ofiary zabobonu. Dziwna sprawa wyszła na jaw w Rosyi: dziewięciu, a może nawet siedemnastu sekciarzy (razkolników) dało się żywcem pogrzebać, aby przez śmierć męczeńską dostąpić odkupienia.

Stało się to nad dnym Dniestrem, w pobliżu Tyraspola i Bender.

Ku końcowi roku przeszłego rozeszła się między tymi sekciarzami wieść, że rychło nastąpi koniec świata. Dowiedziano się, że rząd nakazał zrobić spis wszystkich mieszkańców w Rosyi — i to utrwaliło sekciarzy w przekonaniu, że musi być koniec świata, bo pocóżby spisywano ludzi i na jednym papierze łączono prawowiernych z żyjącymi w błędzie? Więc postanowili ci ludzie pogrzebać się żywcem, aby stanąć na Sąd Boży jako męczennicy, wprawdzie dobrowolni ale zawsze w imię Chrystusa; w jednej piwnicy wykopali tedy jamę, długą i szeroką na pięć łokci, wysoką na półtora do dwóch i tam dali się zamurować, wzięwszy ze sobą trochę jadła, świecę i psalterze.

Kiedy zaczął się spis ludności, rachmistrz z policją przybył do Kowalewskiej pustyni. Głucho było dokoła, drzwi i bramy zatarasowane, tylko już po jakimś czasie wysunął się ze szczeliny w ścianie drażek, a na nim był papier z temi słowami: »pustelnicy nie o sobie nie podadzą — oni nie z tego świata«. Oczywiście władza nie zważała na to: wybito drzwi, aresztowano ledwo żywego starca Gorżewa i młodego chłopca Howalewa, których zamknęli do kozy w Tyraspolu, ale że tam nie mówić nie chcieli, nie brali do ust, a była pewność, że są właśnie mieszkańcami faturu Kowalewskiego, więc ich puszczone.

Leż niebawem w całej okolicy zaczęto mówić o ludziach zamurowanych na futorze. Powoli dowiedziała się o tem policja, zjechała komisya, wzięła na indagację Kowalewa, a ten wcale się nie zapierał, lecz zaraz pokazał, gdzie są zamurowani i oświadczył, że i sam chciał być zamurowanym, ale nie było nikogo, koby mu oddał tę usługę, tak samo jak on okazał tym dobrowolnym męczennikom, zamurując ich w piwnicy, a w końcu rzekł: „Gdyby oni prosili mię, abym ich zabił w imię Zbawiciela, jabym to uczynił“.

Wybito otwór w murze i znaleziono w jamie zwłok dziewięć. Pozycja zwłok świadczyła o strasznych mękach przedśmiertelnych. Było tam tak ciasno, że jeden wygrzebał w ziemi wnęk na swą głowę i ramię. Jedzenie było spożyte, świece dopalone, otwarte psalterze leżały na ziemi. Czarny płaszcz z czerwonymi obwódkami w jednym kącie, w drugim suknie kobiece wskazywały, że byli tam pogrzebani ludzie płci obojej, lecz po zwłokach nie można było tego poznać, bo całkiem już zgnily, a twarze grubym mchem porosły, tak że nie było widać nic, tylko jakieś okrągławe osłizgłe bryły.

Ale kiedy wyniesiono zwłoki i dobrze im się przyjrzano, Kowalew zaczął tłumaczyć, czyje one są. Spokojnie podawał nazwiska i z taką czcią mówił o tych zmarłych, jak o świętych. Więc między innymi wskazał żonę swoją, kobietę dwudziestoletnią, i dwoje swych dzieci, córeczkę dwuletnią i niemowlę kilkomiesięczne. Potem zamilkł i już nie można było wydobyć z niego ani słowa.

Przed sądami w Rzymie toczył się świeżo proces przeciwko znanemu Acciarito, który chciał dopuścić się, jak wiadomo, zama-

chu na życie króla Humberta. Świadkowie zeznali, że gdy Acciarite'go zaraz bezpośrednio po zamachu aresztował karabiner Gerla i zapytał się go: »coś zrobił?« — odpowiedział Acciarito: »Chciałem króla zabić, ale nie udało mi się to!« Inny świadek zeznał, że Acciarito po zamachu najpierw pugiinal obejrzał, czy jest pokrwawiony, a potem go odrzucił.

Prokurator wywodził, że zamach był przygotowany i że chodzi tutaj o anarchistyczny spisek. Obrona oskarżonego przemawiał za łagodzącymi okolicznościami. Przysięgli uznali oskarżonego winnym, a sąd skazał go na dożywotnią karę ciężkich robót.

Po ogłoszeniu wyroku zawołał skazany: »Co dziś mnie, jutro rządowi burżuazjnymu! Niech żyje rewolucya, niech żyje anarchia!«

Kanonizacja. W uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego odbyła się w kościele św. Piotra w Rzymie kanonizacja czyli ogłoszenie za Świętych Antoniego Maryi Zaccaria i Piotra Fourcer. Pierwszy z nich, urodzony w r. 1500 w Cremonie, był najpierw lekarzem, potem został kapłanem, założył zgromadzenie Barnabitów i zmarł w rodzinem swoim mieście w r. 1539. Drugi urodził się w r. 1365, był Augustyaninem i zarazem pasterzem w Malancourt w Lotaryngii. Zasłużył się nie tylko przez to, że zreformował swój zakon, lecz nadto, że podniósł niesłychanie i ożywił ducha religijnego ludności, za co wdzięczność serc obdarzyła go tytułem »apostola Lotaryngii.«

W bazylice św. Piotra, najwspanialszej świątyni całego świata, od kilku już tygodni pracowały setki robotników od świtu do zmroku nad przyrządzeniem i ozdobieniem kościoła. Ustawiono w głębi presbyteryum i po stronie ołtarza ozdobne trony papieżkie, a przy ścianach wzniesiono trybuny dla książąt panujących, dla wielkiego mistrza kawalerów maltańskich, dla ciał dyplomatycznych oraz dla panów i dam z wybitniejszej arystokracji rzymskiej.

Uroczystości te kanonizacyjne zwracają na siebie szczególną uwagę już z tego względu, że Ojciec święty Leon XIII postanowił akt kanonizacyjny odbyć po raz pierwszy od lat 30 w obszernej i wspaniałej bazylice watykańskiej. Pius IX w czasie swego długiego, bo obejmującego 32 lata pontyfikatu, święcił taką uroczystość kanonizacyjną tylko dwa razy, w r. 1862 i 1867. Leon XIII w obecnym 20-tym roku swojego pasterzowania już po raz trzeci ogłasza chwałę nowego świętego, ale nie już jak w pierwszych dwóch wypadkach, w ciasnej sali nad kościołem św. Piotra, lecz jak było przed 1870 rokiem w murach samej bazyliki, gdzie więc kilkadziesiąt tysięcy osób mogło być świadkami tej wzniosłej a tak rzadkiej uroczystości.

Katastrofa w kościele. Podczas uroczystego nabożeństwa w tunie miasta Piza we Włoszech powstał skutek zapalenia się dekoracyi na ołtarzu popłoch; 9 osób uduszono a 21 ciężkie poniosło rany.

Dziesięcioletni Alfons, król hiszpański, posiada własną »armię«, złożoną z kilkunastu malców, przybranych w mundury wojskowe. Działwa, przeważnie drobnych urzędników dworskich, zabawia się musztrą i gdy koronowanego jej dowódcę odwołują do nauki, mali żołnierze idą w rozsypkę. Niedawno »armia«, podzielona na dwa obozy, zdobywała altanę w ogrodzie pałacowym. Dziesięcioletni przywódca partii nieprzyjacielskiej, Domaschi, zbyt gorąco wziął do serca swoją rolę, posprzeczał się bowiem z monarchą i nawet użyć chciał siły fizycznej. Guwerner królewski zabopiegl »zajściu«, przyczem Domaschi raz na zawsze z towarzystwa został wykluczony.

Dom polski emigracyjny w Nowym Jorku, zamknięty przed paru miesiącami, został otwarty dnia 20-go kwietnia rb. na nowo, za poręczeniem ks. arcybiskupa Corrigan. Kapłanem domu emigracyjnego został mianowany ks. Szymanowski z Perth Amboy, N. J., zaś agentem emigracyjnym ob. Dulski z Baltimore. Arcybiskup ma zamiar ustanowić w domu emigracyjnym zakonnice polskie. Jest nadzieja, że dom będzie istniał nadal z pożytkiem dla wychodźców polskich.

Polacy w Ameryce. Wielką szkodę wyrządzają sprawie polskiej w Ameryce księża samozwańcy, którzy zakładając bez wszelkiego zezwolenia władz t. zw. »samodzielne parafie« mnogo ludu prostego przeciągają na swoją stronę, i zwalczani przez prasę katolicką, odwiedzają jej się napaściami na wszystko, co nie popiera ich samodzielnich celów.

Nowy taki samozwaniec pojawił się w tych dniach w Milwaukee. Pisze o nim tamtejszy »Katolik«:

»Kilka już miesięcy temu zjawił się tu w Milwaukee przysłany przez Kamińskiego z Buffalo, jakiś oszust w rewerendzie, który zamierza założyć nową niezależną parafię. Człowiek ten nie wygląda wcale na księdza, ani jak to można widzieć po całym jego obejściu, nie był nigdy w seminaryum, ani się nie kształcił na duchownego. Nazywa się ów ptaszek Gawrychowski i pochodzi z Rosyi. Tak zwane »nabożeństwo« odprawia w jednym domu za mostem, gdzie na owo nabożeństwo kilkunastu latwoiernych uczęszcza. Ma podobno zamiar założyć prawosławną cerkiew i zaprowadzić w niej nabożeństwo podobne do tego jakie odprawia się w rosyjskich prawosławnych cerkwiach.

Niezwykłe miasto. W Ameryce istnieje miasteczko, którego bez wyjątku wszyscy mieszkańcy są... kawalerami. Jest to miasteczko Aliceton, liczące 1000 mieszkańców, mające szkołę, kościół, biuro pocztowe, słynne na całe Stany Zjednoczone z wyrobu serów. Ani jedna kobieta od czasu założenia miasta nie przestąpiła jego bram. Co prawda, miasteczko powstało przed... trzema laty, być więc łatwo może, iż z biegiem czasu mieszkańcy pozbędą się swego kobietowstrętu.

Sędzia chyba najbezsronniejszym na kuli ziemskiej jest niejaki Campbell, sędzia w miasteczku Bowling, w stanie amerykańskim Ohio. Srogi ten urzędnik, podpisywając kiedyś, zakłócił spokój publiczny na ulicy. Nazajutrz Campbell w sądzie, na publicznym posiedzeniu, uroczyście sądził sam siebie. Przedewszystkiem sędzia Campbell bardzo surowo zgromił Campbella pijaka i zapowiedział, że w razie powtórzenia się czegoś podobnego skazany będzie na karę bardzo surową, następnie zaś tenże sędzia Campbell skazał tegoż Campbella pijaka na pięć dolarów kary. Publiczność zgromadzona w sali sądowej, licznymi okrzykami »Hy, hip — Hurrat!« manifestowała swe zadowolenie z bezsronności sędziego.

Systematyczne morderstwo kobiet, popełniane od dłuższego czasu w Nowym Jorku wzbudziły tam nie małą panikę. Napadano kobiety strojne w klejnoty, nie było więc wątpliwości, że miarę do czynienia z rabusiami. Mimo to długo nie zdołano ich ująć. Zbrodniarze ścigali swe ofiary aż do mieszkań, gdzie dusili je za pomocą krótkiego sznura. Jeden z przechodniów usłyszał krzyk na jednym z górnych pięter pewnej czynszowej kamienicy i zatrzymał się. Nagle otworzył ktoś okno i zaczął wołać na ulicę: »Ratunku! mordercy!« wnet potem wybiegło z bramy dwoje ludzi i popędziło w przeciwną stronę. Jednego z nich przytrzymał opodal policyant, a drugiego wnet ujęto. Kiedy dostano się do pokoju kobiety, znaleziono dużą

flaszkę chloroformu koło łóżka, a na ziemi znaleziono znany krótki sznurek, zadzierzgnięty w charakterystyczny węzeł. Osoba napadnięta była kobietą wyjątkowo silną, obroniła się mordercom, którzy jak się zdaje należą do rozgałęzionej liczniejszej bandy morderców.

Wiadomości.

„Prace“

która zapisana jest w cenniku gazet pod rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86) **najwygodniej zamówić na pocztę.**

Przedpłata wynosi na **czerwiec**

tylko 34 fen.

Wszyscy nowi abonenci otrzymać mogą na żądanie jeszcze na składzie od początku w komplecie znajdujące się numera „Pracy“ i to bezpłatnie.

Szanownych Czytelników prosimy usilnie o łaskawe rozdanie załączonych kartek różowych pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

W obec ustawicznych zażeń Szanownych Czytelników na nieregularne dostarczanie naszego pisma przez pocztę i wobec twierdzeń też, że „Praca“ jeszcze nie nadeszła itp. oświadczamy, że pismo nasze tutaj zawsze punktualnie już w każdą sobotę i to jeszcze przed południem na pocztę oddajemy, skutkiem czego każdy Czytelnik ma prawo do żądania od poczty pisma naszego najpóźniej już w niedzielę rano.

W razie więc nieregularnego dostarczenia naszego pisma, za które jedynie odpowiada urząd pocztowy, winien się Czytelnik zażalić u wyższej władzy pocztowej, gdyż tylko Czytelnikowi, a nie nam przysługuje prawo do odnośnego zażalenia.

Dnia 10 czerwca odbędą się w Starogardzie wybory uzupełniające do sejmiku pruskiego na powiaty *kościersko starogardzko-tczewski.*

Naszym kandydatem jest

ks. dr. Ant. Wolszlegier
z Dąbrówna.

Centralny komitet wyborczy na Prusy Zachodnie i Warmię.

Teatr poznański rozpoczął w dniu 29 z. m. sezon w Warszawie w teatrze letnim w Odeonie „Grochowym wiciem“ Małeckiego. Publiczność przyjmowała bardzo entuzjastycznie trupę poznańską. Po drugim akcie zasypano scenę kwiatami. Dochód z pierwszego przedstawienia przeznaczono na pomnik Mickiewicza w Warszawie.

Wydział kolonii feryjnych Towarzystwa „Stella“ zadzierżawił na dwa lata dom w Żabikowie od p. hr. Cieszkowskiego i tam urządzi pierwszą stałą osadę feryjną. W osadzie tej będzie można umieścić 35 dzieci.

Kolonie wakacyjne. Rodzice lub opiekunowie słabowitych dzieci szkolnych miasta Poznania, któreby potrzebowały wytchnienia na świeżem powietrzu w czasie wielkich wakacji, niechaj się zgłoszą najpóźniej do 10 czerwca rb. do którego z podpisanych członków komitetu. Późniejsze zgłoszenia nie będą uwzględnione. — Dzieci przyprowadzać ze sobą nie wolno.

Wydział Kolonii Wakacyjnych Tow. »Stella«.

Drugi dzień jarmarku wełnianego w Poznaniu przypadnie, jak wiadomo w niedzielę. Panuje z tego powodu w szerokich kołach oburzenie, w skutek czego »Poz. Ztg.« zwraca uwagę, że terminy jarmarków wełnianych ustanowione są przez ministra rolnictwa, handlu i przemysłu na mocy rozporządzenia z dnia 27 listopada 1878 roku, według którego jarmark w Wrocławiu naznaczony jest stałe, na 9 i 10 czerwca, w Poznaniu, 12 i 13 czerwca w Landsbergu 14 i 15 czerwca, w Szczecinie 16 i 17 czerwca i wreszcie w Berlinie od 10 do 21 czerwca. — Aż do 15 czerwca, włącznie odbywać się będą zwykle targi na Starym Rynku z powodu zajętego w tym czasie placu Sapiieżyńskiego.

Wilda. Pani Rivoli nabyła grunt na ul. Następcy tronu nr. 105 od pani Weberowej z Witkowskich za 30,000 mk.

Wieś Gołęczewo pod Poznaniem 2700 mórg nabył od p. Kończyńskiej-Bayer — pan Chełkowski za 440,000 mk.

Folwark Czerlejnko pod Kostrzynem nabył od p. Leitgebrowej dr. Dembiński z Poznania.

W Wągrówcu otrzymali premie za dobre klacze robocze i źrebce, gospodarze:

Marolewski, Szczepaniak, Trinka z Ochodzy i Skoczyński z Popowa.

Pniewy. Kamienicę położoną przy Rynku a należąca dotąd do restauratora Kulbacha, kupił restaurator p. Skórnicki za 30,000 m.

W Krotoszynie założył rodak nasz pan J. Sierodzki fabrykę tektury smółkowej, cementu i innych przyborów dachowych.

Łabiszyn. Wieś rycerską Białozewin kupił na subhaście żyd kupiec Cohn z Żnina po Niemcu Müllerze za 200,500 m.

Pakość. Rodak nasz pan Leon Makowski nabył folwark Ludkowo pod Pakością od Niemca, p. Raschke.

W Zbąszyniu uchwalono stanowe budowanie cukrowni. Podpisano razem 3700 mórg pod buraki i to z powiatu babimojskiego, międzyrzeckiego i świebodzińskiego.

Września. W ostatnim czasie odbyło się tu premiovanie klaczy i źrebce. Pierwszych sprzedano 200, drugich 80. Następujący gospodarze otrzymali nagrodę: Urbaniak z Młodziejewic 80 mk., Jarzak z Bieganowa 70 m., Maas 50, Szalbierz z Grabowa 30, Frackowiak z Gozdowa 20, Stachowiak z Borzykowa 20, Pierzyński z Bierzgli 30 m., Falkowski 80 m., Pierzak 40 m., obaj ze Szmarzewa, Harzak z Skarboszewa 20 marek. Inni gospodarze otrzymali wolne karty do ogierów. Komisją rozdającą nagrody stanowili sami niemieccy wielcy posiadziciele ziemscy.

Środa. Odbyło się tu nagradzanie koni dobrego chowu, urządzone przez Izbę rolniczą za pośrednictwem niemieckiego Towarzystwa rolniczego. Spędzono około 300 koni i to prawie bez wyjątku rosłych i dobrych, co najlepiej świadczy, że gospodarze dobrze chowają konie. Na nagrody wydano blisko 1000 m.

Wyrzysk. Dla panów krawców. Rodak pan Ksawery Grochowski, krawiec z Glesna pod Wyrzyskiem, wynalazł ulepszony i skomplikowany stolik do prasowania ułatwiający prasowanie wszystkich rzeczy w zakres krawiecki wchodzących. Pan Grochowski uzyskał na ten wynalazek patent państwowy.

Radzyn, Prusy Zachodnie. Obywatel pan Rozwadowski sprzedał swój majątek, wynoszący 307 mórg obszaru, za 96000 marek: Przed 8-miu latami nabył pan Rozwadowski takowy za 69000 mr. zatem pomnożył majątek swój o 27000 marek.

Tornü. »Landbank« sprzedał wieś Papowo Niemcowi Wegnerowi z Saksonii za 370,000 marek.

Wystawa zwierząt gospodarskich urządzona przez grupę 15 towarzystw rolniczych niemieckich w powiatach grudziądzkim i kwidzińskim, z inicjatywy izby rolniczej Prus Zachodnich, odbędzie się w Grudziądzu dnia 15 go czerwca rb. na placu strzelnicy i przeciwległym placu targowym. Z wystawą będzie połączona także wystawa machin i narzędzi rolniczych. Na wystawę [zwierząt mogą posyłać także swoje okazy nierzłonkowie towarzystw niemieckich.

Ministerstwo rolnicze zamierza — jak donoszą gazety berlińskie, zaprowadzić trzydniową kwarantannę dla drobiu, sprowadzonego z Rosji i Polski do Prus. Odnośne stacye urządzone zostaną na głównych przejściach przez granicę, a koszta utrzymania ich i rewizji weterynarskiej pokryte być mają przez odnośne opłaty handlarzy. Gdy się po trzech dniach nie pojawi u drobiu zaraza, wolno go będzie przez granicę przepędzić.

Dnia 22-go z. m. o godzinie 2-giej nastąpiło otwarcie wystawy w Wilnie. Z nadesłanych okazów wyróżnia się bydło rogate pp. Daszkiewiczza, hr. Kajzerlinga i Bortkiewiczza, konie Michała hr. Tyszkiewiczza, trzoda chlewna pp. Piaseckiego i Kończy. W dziale przemysłu wiejskiego godne uwagi są szkoła bezpłatna rzemieślnicza Montwilla i tegoż właściciela wzorowy zakład tkacki, tkaniny wełniane włościan gubernii kowieńskiej, tkaniny pań, Budrykowej i Glińskiej i wódki pani Kwiatkowskiej.

W Wilanowie pod Warszawą zawiązano Spółkę »Mercury«, złożoną z urzędników administracji majątku Wilanową i włościan i od kilku tygodni handel spożywczy, piekarnia oraz skład z mięsem administrowane są pod kontrolą członków spółki. Towary są wyborowe i nie droższe niż w Warszawie. Ludność wiejska jest bardzo z tego zadowolona. (Do zakładania takich spółek u nas zachęcaliśmy już niejednokrotnie rodaków w piśmie naszym w artykułach poświęconych tej sprawie. W tej kwestyi zamieścimy znowu w najbliższym czasie obszerniejszy artykuł. — Przep. Redakcyi.)

Ostrowo. Bank kupiecki, spółka z ograniczoną poręką, zawiązał się w Ostrowie w celu ułatwienia kupcom tamtejszym procedury handlowo-kasowej. Odpowiedzialność każdego członka dosięga sumy 600 m. Dyrektorem Banku zamianowany został p. R. Hulewicz, kasyerem p. J. L. Nowicki, kontrolerem p. B. Bryczyński. Do Rady Nadzorczej wybrało pp.: T. Mazura, Niesiołowski, S. Prusinkiewicz, Sztukowski i Zbąskiego.

Papros. Obywatele okoliczni założyli tu spółkę mleczarską. Mleczarnia stanie nad koleją buraczaną i nad drogą z Paprosa do Woli Wapowskiej. Do zarządu wybrano pp. Grabskiego z Skotnik, Lotzego z Paprosa i sołtysa Benedyzyńskiego z Woli Wapowskiej.

Trzemeszno. Posiedziciel p. Giese sprzedał swój hotel pod Czarnym Orłem za 36,000 marek mistrzowi szewskiemu p. Sachockiemu (starszemu).

Inowrocław. Towarzystwo akcyjne młyna parowego obchodzić będzie w bieżącym roku 25 rocznicę powstania młyna parowego. Myśl pierwszą podał przed 25 laty p. Zygm. Wilkoński, właściciel Rombina, najwięcej zasług około urzeczywistnienia projektu położył p. J. Grabski ze Skotnik. W r. 1875 zniszczył pożar znaczną część faryki. Wkrótce odbudowano go na nowo i tak udoskonalono maszyny, że pszenna mąka młyna inowrocławskiego co do delikatności może się mierzyć z każdym podo-

bnym wyrobem na świecie. Przyczynia się do tego wyborowa kujawska pszenica, która obok sandomirskiej słynie nawet w dalekich krajach. Dawniej ze wsi kujawskiej Tarkowa dostarczano pszenicy na dwór królowej angielskiej. W Berlinie płaci się 1 mrk. więcej za centnar mąki inowrocławskiej, aniżeli za inny podobny wyrób. Dawniej miała mąka odyt w Bawaryi, Anglii, Szwecyi, Belgii itd., ale zmieszyl się wywóz gdy nastaly cła zbożowe. O ważności młyna parowego można się ztąd przekonać, że przerabia rocznie przeszło 200,000 centnarów zboża przeważnie pszenicy i żyta a zatrudnia około 100 ludzi. Jest to jedno z największych przedsięwzięć przemysłowo-handlowych polskich nietylko na Kujawach, ale wogóle w całej Wielkopolsce. Roczny obrót wynosi kilka milionów marek. Młyn parowy jest prawdziwym dobrodziejstwem dla kujawskich rolników, gdyż jest regulatorem cen zboża na całe Kujawy. W samym Inowrocławiu mieszka 20 kupców zbożowych żydów, którzy mogliby ceny zboża zniżać, gdyby nie młyn parowy, który kupuje zboże ile możności wprost od rolników. Są gospodarze kujawscy, którzy wszystkie zboże sprzedają wylacznie do młyna inowrocławskiego. Kapitał zakładowy młyna parowego wynosi 360,000 mrk. Bilans dnia 1 stycznia b. r. przedstawiał 1,168,803 marek dochodu i rozchodu. Budowle przedstawiają wartość prawie 300,000 m. a maszyn obliczono w ostatnim bilansie na 230,009 m. Od 1891 r. zaprowadzono w młynie elektryczne oświetlenie, potrzebne na ten cel przyrządy kosztują 12,000 marek. Fundusz rozerwoy doszedł do wysokości 100,000 mk. Ujemną stroną młyna inowrocławskiego jest bardzo niska dywidenda, gdyż akcyonaryusze tylko 2 procent od sta brali. Mówią, że głównie nizkie ceny zbożowe są przyczyną tak małej dywidendy.

Lekarze polacy, ordynujący w polskich, litewskich, lub czeskich zdrojowiskach klimatycznych w r. 1897. Birsztany (Litwa): dr. Rodecki, Busko (Król. polskie): dr. Dymicki, Grabowski, Majkowski, Radziszewski, Sulimirski, Ciechocinek, (Król. pols): dr. Arnstein, Asterblum, Certowicz, Ciagliński, Górski, Lewenstein. Lubowski, Pajewski, Rappaport. Stockmann, Tannenbaum, Wolberg, Cieplice czeskie: dr. Hanakowski. Cieplice trenczyńskie: dr. Filipkiewicz. Druskiwniki (Litwa): dr. Bujakowski, Szepietowski, Blociszewski. Francensbad: dr. Dębicki, Kittel, Rosnar. Grodzisko (Król. Pol.): dr. Tokarski, Inowrocław (Ks. Pozn.): dr. Krzyżmiński, Przybyszewski. Iwonicz: dr. Dębicki, Rościszewski, Staniszewski, Supiński. Jastrzębie: dr. Wilczak. Jaworze: dr. Czop. Karlsbad: dr. Hassewicz, Hochberger, Kaufmann, (syn), Kretowicz, Stiche, Tugendhat, Ziemiński. Kamionka (Pod. Ros.): dr. Bociański, Kotsowski. Krasnobród (Król. Pol.): Dr. Skłodowski. Krynica: dr. Aronsohn, Askenazy, Blatteis, Cercha, Ebers, Gluksmann, Kmietowicz, Kopfl, Lorentski, Skóraczewski, Tyszecki. Krzeszowice: dr. Dura, dr. Radecki. Morszyn: dr. Tyszkowski. Nałęczów (Król. Pols.): dr. Chmielewski, Helkowski, Puławski, Saczewicz. Nieklau (Król. Pols.): dr. Misiewicz. Nowe Miasto (Kr. Pols.): dr. Biliński, Niedzielski, Skowronski. Odesa: dr. Kozłowski, Jachimowicz. Rabka: dr. Głuchowski, Kaden, Reichenhall: dr. Goldschmidt. Rymaków: dr. Dukiet, Jadłowski, Krzyszkowski, Regiec. Sasów: dr. Mazanek. Sławinek (Król. Pols.): dr. Olechnowicz. Sławuta (Wołyń). dr. Dzierzbicki. Solec: (Król. Pols.): dr. Daniewski, Siarczyński. Swoszowice: dr.

Zeitner. Szczawnica: dr. Ściborski, Górski, Hammerschlag, Kołaczkowski, Korczyński, Kruszczyński, Singer. Truskawiec: dr. Plech, Pelczar, Steinhaus. Wysowa: dr. Jarosz. Zakopane: dr. Chramiec, Chwistek, Buzdygan, Eljasz Radzikowski, Piasecki, Hawranek, Tyszkiewicz. Żegiestów: dr. Hojnacki.

Kronika żałobna.

† **Dnia 22 z. m.** umarł we Wronkach śp. **Ignacy Wojczyński**, brat rodzony księdza dyrektora zmarłego w Rogoźnie, a kuzyn śp. ks. proboszcza Karola Wojczyńskiego, zmarłego w Strzelnie. — Śp. Ignacy Wojczyński był przez długie lata nadleśniczym w ordynacyi Wróblewskiej; posiadał wyższe wykształcenie, czynny brał udział w powstaniu roku 63-go. Znano go ogólnie jako zacnego i szlachetnego człowieka i gerącego patriotę. W sercach znajomych i przyjaciół pozostawił po sobie niezatarte wspomnienie. Oby mu ziemia była lekka.

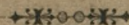
† **W Żarnowcu**, dekanacie puckim, zmarł w piątek, dn. 28 maja tamtejszy proboszcz śp. **ks. Andrzej Block** Nieboszczyk urodził się w Strzeczcu na Kaszubach dn. 28 lutego 1840 roku, święcenia kapłańskie otrzymał dnia 1-go sierpnia 1860 a na probostwo żarnowieckie instytucyjony został dnia 21 czerwca 1887 r. — Dyceczya nasza — pisze »Gazeta Grudziądzka« — utraciła znów jednego z kapłanów i to zacnego człowieka oraz pełnego poświęcenia pracownika w winnicy Pańskiej. Zmarły był rodzonym a młodszym bratem czcigodnych księży Blocków: dziekana w Świeciu i proboszcza w Starogardzie. N. o. w p.

Ruch w Towarzystwach.

Towarzystwo „Stella“ uradza w pierwsze święto Zielonych Świątek, dnia 6-go czerwca we »Villa Flora« u p. Majchrzyckiego zabawę latową, połączoną z grą fantową.

Ze względu na cel szlachetny, jakimi są Kolonie wakacyjne dla biednych dzieci, któremi Towarzystwo »Stella« gorąco się zajmuje, uprasza się o liczny udział.

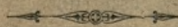
Tuchola. Towarzystwo ludowe obchodzi dnia 7 czerwca r. b. uroczystość poświęcenia chorągwi w połączeniu z majówką. Poświęcenie chorągwi odbędzie się o godzinie 2-giej po południu w kościele; potem zabawa w lesie przy Tucholi. — Goście mile widziani. O jak najliczniejszy udział prosi — Zarząd.



Chleb dla swoich.

Weteran z r. 48-go, zasłużony Polak obywatel, zagrożony jest ruiną majątkową, jeżeli natychmiast nie uzyska pomocy. — Szuka kupca na dom i restauracya, jakie posiada w jednym z większych miast Księstwa. Zaliczki potrzeba 4000 mrk.

Pomoc konieczna natychmiast. Kto by się chciał zająć losom zasłużonego, 70-letniego weterana, który w razie ruiny majątkowej razem z rodziną skazanym zostanie na nędzę, niechaj zechce zgłosić się zaraz po bliższe szczegóły do biura administracyi »Gońca Wielkopolskiego.«



Wynalazki.

Drukarnia elektryczna. Pp. Meray, Horvath i Roga, Niemcy, otrzymali patent wynalazku na zaprowadzenie zecerni elektrycznej. Przy pomocy przyrządów automatycznych, można składać po 500 wierszy na godzinę, co ma dać oszczędność 86% w porównaniu z ręcznym składaniem czcionek. Maszyna centralna drukarska, dzięki transmisji elektrycznej, może być połączona z kilkudziesięciu innymi, tak iż dany dziennik mógłby wychodzić jednocześnie w tyluż miastach — co by oszczędziło kosztów pocztowych i przyczyniło się do szybkości informacyj.

Najnowszym wynalazkiem, a raczej humbugiem amerykańskim, są koszule z papierowymi gorsami, składającymi się z sześciu arkuszy papieru. Właściciel papierowej koszuli zdiera codziennie jeden arkusz i ma stale gorszą koszulę śnieżnej białości. Wynalazca na drugiej stronie arkusza zaczął umieszczać sensacyjne nowelę w urwykach. Zaczawszy czytać początek, właściciel koszuli zaciekawiony zdiera przedwcześnie arkusze i z tego powodu zapotrzebowanie na koszule z nowelami tak wzrasta, iż właściciel opatentowanego wynalazku nie jest w stanie nastarczyć zapotrzebowaniom.

Tak w czytamy w innych pismach. Szkoda tylko, że niema podanego nazwiska wynalazcy i fabrykanta.

Podłoga papierowa. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej podłogi papierowe zaczynają coraz częściej wchodzić w użycie. Posiadają one tę wyższość nad podłogami drewnianymi, że niema tu szpar żadnych, w których zbiera się pył i gnieździć się mogą bakterie chorobotwórcze. Podłoga taka jest złym przewodnikiem ciepła i przy chodzeniu jest przyjemniejszą od drewnianej. Podłogę taką przygotowuje się w ten sposób, że sproszkowany papier rozrabia się na masę wraz z niewielkim dodatkiem cementu i rozwalcowuje tam, gdzie ma być urządzona. Masę papierową można zabarwić na kolor drzewa. Cena takiej podłogi wypada nie drożej, niż podłogi z drzewa twardego.

Informacje,
dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Dzierżawa

owocu na torach szosowych Środa-Kostrzyn-Pobiedziska, Środa-Nowemiasto n. W.-Klenka, Środa-Kórnik-Poznań-Żegrze, Bnin Czmoń, Swarzędz-Kostrzyn i Poznań-Owińska odbędzie się w drodze licytacji w Środzie w obręzy p. Zielńskiego dn. 11 czerwca przed połud. o godz. 9-tej. Dzierżawę należy zapłacić zaraz na terminie; bliższych informacji udzielią dozórca szosy.

Firmy.

Do rejestru spółek sądu okręgowego w Gnieźnie zapisano przy firmie „Kasa Ul” co następuje: W miejsce zmarłego księdza Pasikowskiego wybrano do zarządu ks. penitenciarza Piotrowicza w Gnieźnie.

Konkursy.

Ogłoszono konkurs nad majątkiem mistrza krawieckiego, p. Salomona Kronego w Skwierzynie nad Wartą, nad majątkiem drogerzysty, p. Ludwika Hoffmanna w Dolsku, nad majątkiem cukiernika, p. Wiktora Gugisza w Bydgoszczy, nad majątkiem kupca, p. Bol. Zielńskiego w Czarnkowie i nad majątkiem kupca, p. L. Markusa w Łabiszynie. W konkursie nad majątkiem Kasy oszczędności i pożyczkowej w Śremie wyznaczono termin ostateczny w są-

dzie okręgowym w Śremie na dzień 11-go czerwca. Do dyspozycji do podziału między wierzycieli jest 10,492,39 mrk., a uwzględnionych pretensji zgłoszonych jest na 355,211,38 mrk. — Zuśieszono konkurs nad majątkiem dzierżawcy hotelu, p. Władysława Kamińskiego w Poznaniu.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Kapitalista p. Józef Radziwiński i żona Izabela z domu Berdzińska z Poznania. — Kupiec p. Wincenty Zaporowicz z Poznania i panna Wanda Rau. — Mistrz rzeźnicki p. Jan Gogulski i żona Barbara z domu Mehr z Poznania. — Mistrz siodlarski, p. Ignacy Tomaszewski z Poznania i panna Władysława Witajewska. — Rzeźnik, p. Kazimierz Ceglarek i żona Helena z domu Biłła z Wildy. — Właściciel domu, p. Teodor Śliwiński i żona Felicja Anna z domu Kalk z Jeżyc. — Handlarz, p. Stanisław Pawlicki z Borku i panna Władysława Ganowiak z Jaraczewa. — Mistrz szewski, p. Stanisław Świerkowski i panna Cecylia Fender ze Wrześni. — Właściciel hotelu, p. Leon Czarnecki z Kępna i panna Mieczysława Mroczkowska z Rawicza. — Dzierżawca dóbr rycerskich, p. Bernhard Sypniewski i panna Marya Ponikiewska z Chraplewa.

Obrońca prawna.

Panu T. N. w Prz. Odnośna skarga należy przed forum sądu ławniczego i musi być zrobioną przez istotnego znawcę, a nie partacza, na mocy § 223 prawa karnego.

Obroncy prawa (adwokata sądowego) nie potrzeba, ale skarga musi być opartą na przynajmniej jednym świadku. Prokurator tylko w takim razie zabierze się do tej sprawy, jeśli ta obraza cielesna, czyli sponiewieranie nastąpiło za pomocą niebezpiecznych instrumentów i przedmiotów, tj. jeśli bijący użył do tego np. kłonicy, drąga, żelaza, grubego kija, siekiery itd.

Prz. należy do sądu w Obornikach i jeśli ten, który dopuścił się przewinienia odnośnego, zamieszkuje w obwodzie sądownym obornickim, to sprawa ta będzie się toczyła w Obornikach w pierwszej instancji.

Zresztą udaj się Pan do adwokata ludowego, pana Walentego Nimsa w Poznaniu, mieszkającego przy ulicy Kramarskiej Nr. 5, I piętro, a ten Panu sprawę tę prawidłowo obróbi.

Ważne dla kupców. „Wyprzedaż po cenach fabrycznych” — czyta się często w oknach wystawnych. W jednym z procesów o nieuczciwą konkurencję orzekł sąd, że napis taki wolno umieszczać tylko na tych towarach, które sprzedaje się rzeczywiście po tej cenie, jaką za nie według faktury zapłacił kupiec. Nie rozumie się zaś pod „ceną fabryczną” tej ceny, za jaką fabrykant odstępuje swe wyroby osobom prywatnym.

Ważny dla przemysłowców wyrok wydał sąd rzeszy w Lipsku. Pewien kupiec zbankrutował i skazany został na dwa tygodnie więzienia; okazało się, że przez dwa ostatnie lata miał przeszło 30,000 marek kroczonego obrotu, a nie prowadził ksiązek. Kupiec twierdził wprawdzie, że zapisywał sobie ważniejsze rzeczy w interesie, sąd ziemiański oświadczył jednak, że zapiski w interesie nie mogą być uważane za ksiązki handlowe. Sąd rzeszy potwierdził wyrok.

Sprawozdania handlowe.

Wetna.

Poznań, 4 czerwca. W interesie wetną panuje cisza, a ceny są zniżkowe. Transzakeje na wetnę z nowej strzyży dochodzą do skutku po cenach o 3—4% niższych od zeszlazocznych.

Wrocław, 4 czerwca. Większe ożywienie, dominujące na aukcji londyńskiej, wywołało na tutejszym rynku liczniejsze obroty. Ceny mało na tem dotychczas skorzystały, ale mocniejsza tendencja ujawniła się dobitnie. Poszukiwany jest prawie wyłącznie towar wyborowy, który też osiągał wyższe ceny w porównaniu z płaconemi w kwietniu, dzięki szczupłym zapasom tego produktu. Dowozy wetny do tutejszych składów z Węgier i z gub. Królestwa Polskiego są bardzo słabe i w skutek tego zapasy w ogóle zeszczipły. — W interesie kontraktowym dokonano kilka transzakeji po cenach prawie zeszlazocznych; producenci i spekulanci snadniej się porozumiewają niż dotychczas.

Berlin, 4 czerwca. (Sprawozdanie tygodn.) Obroty wetną krajową były w minionym tygodniu dość znaczne, dzięki koniecznej potrzebie, zmuszającej fabykantów do zakupów. Obroty były liczne, ale niewielkimi partjami; ceny z łatwością osiągnęły wyższe, niż w poprzedzającym tygodniu. Cały obrót tygodniowy wynosił 1,500 centu, w przeważnej części niemytej, a nabywcami byli wyłącznie fabrykanci, co dowodzi wyczerpania się zapasów surowego materiału w fabrykach i daje dobre widoki na przyszłość interesu wetną. — Obroty wetną brudną z nowej strzyży są dotychczas nieznaczące, gdyż reflektanci kupna zachowują się wyczekująco. Tendencja rynku była w ubiegłym tygodniu mocniejsza w skutek wiadomości nadeszłych z aukcji londyńskich. — Interes wetną zamorską ograniczał się w tygodniu sprawozdawczym do zakupu kilkuset bel po cenach ostatniego tygodnia. — Z Wrocławia donoszą o trwającej stagnacji w interesie wetną. Również i interes kontraktowy jest tam ospały. — W Poznaniu obroty wetną są ospałe, dochodzą do skutku jedynie drobne transzakeje po cenach słabych. Fabrykanci i spekulanci trzymają się w rezerwie pomimo gotowości do ustępstw ze strony posiadaczy produktu. Ceny wetny w ogóle są niższe, niż w r. z. o tym czasie. W interesie kontraktowym panuje cisza. Transzakeje zawierane są po cenach niższych od zeszlazocznych.

Chmiel.

Poznań, 4 czerwca. Tendencja tutejszego rynku stała się znowu ospałą, przytem niema żadnych widoków na poprawę, gdyż i rynki bawarskie i czeskie przebywają chwile krytyczne. Piwowarzy miejscowi wcale nie nabywają produktu, nawet lepszego gatunku, pomimo taniej jego ceny. Średnie gatunki zupełnie są zaniedbane; drobne ilości tylko zakupiono na wywóz. Producceni, mający jeszcze niewielkie zapasy, chętni są do ustępstw. Notujemy: Chmiel prima do 60 m., średni 25—30 m. — Handlujący chmielem wcale nie sprzedają swych zapasów po obecnych niskich cenach — Ciepłe powietrze bardzo sprzyja vegetacji chmielu.

Nowy Tomyśl, 4 czerwca. Interes chmielem ospały. Ciepłe powietrze daje otuchę, że zapotrzebowanie produktu powiększy się. Tymczasem ceny w dalszym ciągu się obniżyły — placą za prima do 60 m., za średni produkt 30—35 m. i za gorszy 15 m. i niżej.

Norymberga, 3 czerwca. Temperatura w ostatnim tygodniu bardzo sprzyjała vegetacji młodej rośliny. Mamy tu ciepło przepłacone opadami atmosferycznymi. — Obroty chmielem na tutejszym rynku są niezaczące; wynoszą one przeciętnie do 100 bel dziennie. W ostatnim czasie brały udział w zakupach miejscowe browary, które nabywały dobry średni produkt przeważnie wirtemburski po 30—40 m. Nabyto również dla miejscowego browaru partję chmielu prima wirtemb. i badenkiego po 60—70 m. Hallertauerski średni towar osiągał w małych partyjach 18, 20 i 25 m., a takież prawie 50 m. Na wywóz zakupiono 40 bel produktu hallert. grubego, żółtej barwy, po 15—20 marek.

Aischgrund, 3 czerwca. Dotychczasowa pogoda nie sprzyja vegetacji chmielu; młoda roślina jest bardzo zacofana w rozwoju i nie okazała się podotąd potrzeba wstawania tycelek.

London, 3 czerwca. Interes chmielem jest wciąż spokojny, a ceny chwiejne. Wiadomości z plantacji donoszą, że w skutek nieprzyjemnej pogody vegetacja jest spóźnioną. Przywóz chmielu

prze. pierwsze 4 miesiące r. b. wynosił 50,541 centn. wobec 86,452 centn. przez tenże przeciąg czasu 1895 r. i 92,884 centn. w 1895 r.

Rynek zbożowy i produktowy.

Wrocław, 4 czerwca. Przy dostatecznym dowozie i cenach niższych usposobienie rynku było słabe. — Pszenica słabsza; biała m. 14.40—16.40, żółta m. 14.30—16.30. — Żyta ceny niższe m. 10.80—11.60. — Jęczmień bez obrotów; 10—12.50—14.40. — Owsema interes spokojny; m. 12.20—13.50. — Kukurydza była bardziej poszukiwana; m. 10.50—11. — Groch obroty były nieznaczne; płacono za Victoria m. 13.50—14.50; a za drobny m. 11.50—13. — Bób dobry miał pokup; m. 15—16.50. Łubinem interes spokojny; żółty m. 8—10.20, niebieski m. 9—10.20. — Wyka mały miała zbyt; m. 11.50—12. — Mąka miała słaby pokup; pszenna 2/0 m. 23.50—24, żytnia 2/0 m. 17.25—17.75. — Wszystkie ceny za podwójny centnar, t. j. 100 kilo.

Rynek cukru.

Niemiecki rynek cukru przez bieżący tydzień zupełnie odpoczywał. Ameryka zaopatrzyła się w takie ogromne zapasy cukru, że prawdopodobnie nieprędko wystąpi z nowymi zakupami, a była to jedyna nabywczyni w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Rafinerie niemieckie i angielskie nie ujawniają wielkiej chęci kupna. — Pogoda w ostatnim czasie sprzyjała wegetacji buraków cukrowych we wszystkich krajach produkcyjnych.

Zboże na rynkach międzynarodowych.

Miniony tydzień zaznaczył się na wszystkich prawie rynkach ospałą tendencją, do czego przyczyniło się i to, że Francję można teraz zaliczyć co do zboża do krajów eksportowych. Niema także nigdy obawy, aby zabrakło towaru, gdyż zapasy wszystkich krajów eksportowych obliczane są wysoko. — W Stanach Zjednoczonych usposobienie słabsze, zgodne zresztą z mniejszym popytem, a przytem po części z większymi dostawami farmerów, które wynosiły 152,500 kwart. wobec 243,250 w odpowiednim tygodniu r. z. Załadowano 217,000 kwart. pszenicy i 72,000 worków mąki wobec 67,000 kw. i 120,000 worków w odpowiednim okresie r. z. Zapasy skontrolowane zmniejszyły się o 2,125,000 buszli na 29,737,000 wobec 53,484,000 w r. z. Ceny w New-Yorku i Chicago były niższe. Argentyna ma w porównaniu z r. z. powiększony areal. Załadowano 1,000 kwart. wobec 3,000 kwart. w z. tyg. i 78,000 w 2897 r. — Z Indyi w ostatnich notuj dalszą obniżkę cen. Wiadomości o stanie zasiewów w Rosyi brzmią z południa pomyślniej. — W handlu pszenicą mało się zmieniło. Na wywóz odeszło 398,900 kwart. wobec 299,660 kwart. w z. tyg. i 383,330 w r. z. Wywóz od 1-go sierpnia r. z. wynosił 10,048,320 kwart. (wobec 11,140,170 kwart. w tymże okresie 1895/6 r.) W Rumunii i Belgii widoki zbiorów są dobre, choć deszcze poczyniły pewne szkody. Z Austro-Węgier notują nadmierną wilgoć i deszcze, skutkiem czego ceny się podniosły, choć potem część zwyżki utraciły. W Włoszech rynki przeważnie mocne; wiadomości o wpływie atmosfery na zasiewy brak. W Hiszpanii powietrze mniej korzystne. Wiadomości z Francji zap. wiadają intensywniejszą na przyszłość działalność rolną tego kraju. Ceny są tam zresztą lepsze. W Anglii pola zbożowe poprawiły się, chociaż widoki nie są tak dobre, jak w r. 1896; w ostatnich dniach źle oddziaływały zimna. Na 196 rynkach skontrolowanych obrót pszenicy wyniósł 74,672 kwart. po przeciętnej cenie 27 sz. 11 p. wobec 37,245 kwart. po 25 sz. 7 p. w r. z. o tym samym czasie.

Statystyka w dn. 15 maja przedstawiała następujący obraz:

	1897	1896	1895
Amerykańskie zapasy skontrolowane	3,717,000	6,643,000	7,060,000
Ładunki płynące do Anglii na zlecenie	737,000	1,241,000	2,439,000
Ładunki bezpośrednie na kontynent	762,000	1,216,000	1,399,000
Zapasy handlowe w Anglii	1,885,000	1,380,000	1,790,000
Ogółem	7,806,000	11,755,000	14,301,000
Dn. 28 maja	8,027,000	11,806,000	14,875,000
" 1 "	8,386,000	11,990,000	14,754,000

Uprawa buraków w Niemczech.

Wedle wykazów fabrykantów cukru w państwie niemieckiem uprawa buraków w r. 1897/8 powiększyła się znowu w Niemczech z 425,000 ha na 430,153 ha, czyli o 1.2%. W r. 1896/7 uprawiono 376,669 ha.) Najwięcej powiększyła się uprawa w zachodnich Prusach, na Pomorzu i w Meklemburgii.

Przegląd ogólny na stan zasiewów.

Stan zasiewów w Serbii jest dobry w całym kraju, z wyjątkiem kilku okręgów, które uciążliwy w skutkach powodzi Zasiewy wiosenne są ukończone i obecnie rolnicy zajęci są uprawą kukurydzy.

Stan zasiewów we Francyi. Pomimo poprawy stanu pogody nadchodzą liczne skargi na stan nasiewów. Tendencja rynków zbożowych wewnątrz kraju jest bardzo mocna, a ceny mąki w Paryżu podniosły się o pół fr. bez względu na ospałe usposobienie rynków amerykańskich.

Stan zasiewów w Anglii. Z Essex, Norfolk, Sufforth i z hrabstw południowych nadchodzą lepsze wiadomości o stanie zasiewów, z dodatkiem jednobrzmiącym, że jest znacznie gorzej od zeszłorocznego o tym czasie. Według „Agricultural Gazette“ nawet największe upały nie powetują strat wyrządzonych przez wilgotne i zimne powietrze. Pszenica jara potrzebuje koniecznie deszczu dla dalszej wegetacji.

Stan zasiewów w St. Zjednoczonych. Według „Cincinnati Price Current“ panowała w większej części stanów obawa o los młodych zasiewów z powodu silnych opadów atmosferycznych, ale przeszło to bez złych skutków i doniesienia o stanie zasiewów jarych brzmią pomyślnie. Stan przeciętny zasiewów pszenicy ozimej Thoman szacuje na 79.6%, w Kalifornii cofną się o 8% w porównaniu ze stanem w dn. 1 b. m. Według tych szacowań można oczekiwać zbioru pszenicy ozimej w ilości 310 mil. buszli i około 230 mil. buszli pszenicy jarej. Areal gruntu uprawnego pod pszenicę jest w r. b. o 18% większy od zeszłorocznego, wynosi on około 14 mil. akrów. Stan przeciętny pszenicy jarej Thoman określa liczbą 96%.

Taryfa celna w St. Zjednoczonych. Komisya celna senatu proponuje następujące opłaty cła od przędzy i wyrobów tkackich: Przędze wyrobione w całości lub w części z wełny, których wartość funta nie przekracza 35 cent., opłacać mają 2½ raza tyle cła, ile przypada od funta wełny brudnej I klasy; droższe przędze podlegać będą opłacie w rozmiarze 3½ raza tyle, co cło od funta wełny brudnej I kl.; prócz tego wszelkie przędze opłacają dodatkowe cło w wysokości 40% od wartości. — Materje wełniane płacić mają przy wartości funta, nie przewyższającej 40 cent., 3 razy tyle, co funt wełny brudnej I kl.; przy wartości zaś funta 40—70 cent. — 4 razy tyle, co funt brudnej wełny I kl.; prócz tego materje wełniane płacić będą dodatkowe cło w wysokości 50% wartości, a przy wartości funta materji wyższej nad 70 cent., dodatkowe cło wynosi 55% wartości. — Pomimo zmoderowania wysokości cła przez komisję senatu, wątpliwe bardzo, czy możebny będzie przywóz tych wyrobów z Europy w ogóle. — Pocięszającym jest zjawiskiem, że książki, mapy, muzyka, medycyna, litografie itd. mają być wolne od opłaty celnej, jeżeli te przedmioty mają służyć do nauki i w ogóle do celów naukowych.

Nadesłane.

Król, moli.

(*Plectranthus fruticosus.* — *Der Mottenkönig*).

Piękna ta roślina o bujnym wzroście, przynosząca śmierdzący molom, a pochodząca z Indyi wschodnich i z Afryki południowej, powinna się znajdować w każdym pokoju pomiędzy kwiatami nie tylko z powodu jej piękności, lecz także z powodu jej użyteczności. Jako środek domowy homeopatyczny wysławia wielką przysługę w chorobach epileptycznych, a przedewszystkiem jest słynną jako środek wypróbowany przeciw molom, niszczącym odzież, meble wyściełane itp. i ztąd jej nazwa „król moli.“ Dziwnego zapachu tej rośliny może znieść nie mogą i jedna doniczka kwiatu w pokoju wystarcza do pozbycia się tego szkodliwego owadu. Także odcięte gałązki rośliny z kwieciami i liśćmi wysuszone i następnie powkładane między odzież do szaf, komód, kufrów, kist itp. są radykalnym środkiem przeciw molom; wreszcie liście w stanie sproszkowanym skutkują tak samo jak perski proszek na owady.

Zapach rośliny nie jest szkodliwym zdrowiu ludzkiemu. Zrobiono także spostrzeżenie, że zapach rośliny znieść nie mogą muchy i komary. Na oknach, na których kwiat ten stoi, nie pokaże

się ani jedna mucha. O skuteczności rośliny przeciw molom i innym szkodliwym owadom, pisze miesięcznik, wychodzący pod redakcją profesora dr. Jägera p. t. „Monatsblatt“ co następuje: „Nigdzie nie ujrzałem mola ani w szufladach, ani w szafach tam, gdzie włożyłem między odzież liście króla moli. W pokoju, w którym kwiat ten się znajdował, nie widziałem podczas lata ani jednej muchy, natomiast były w przybocznym pokoju, a skoro tamże postawiłem kwiat na dzień lub dwa dni, natenczas ulotniły się wszystkie. W mej kancelaryi było wiele much, więc włożyłem gałązkę kwiatu do szklanki z wodą, stojącą na biurku, a po dwóch dniach nie było ani jednej muchy.“

Roślina ta rozmnaża się i pozostaje przez cały rok w żywej wegetacji; trzeba ją często podlewać; w pomieszkaniu przechowuje się bardzo dobrze przez zimę. Kwicie jest piękne niebieskie, podobne do kwicia rosnącej na łąkach szalwii i jest pokryte mnóstwem liści.

Roślinę tę hodować można zarówno w doniczkach w pokoju jako też w ogrodzie.

Na próbę wysłała firma: „Practische Gartenbau-Gesellschaft“ w Frauendorf, poczta Wilshofen w Bawaryi (Frauendorf, Niederbayern), zdrowe, mocne rośliny sztuka po 60 fen., 6 sztuk za 3 mrk.; 12 sztuk za 5 mrk.; młode rośliny sztukę po 40 fen., 6 sztuk za 2 mrk., 100 sztuk za 30 marek.

Angielskie buraki na paszę (Turnips)

są prawdziwym błogosławieństwem dla rolnictwa mianowicie w jesieni i zimie, gdy brak paszy zielonej uczuwać się daje. Rozważnym rolnikom wysławiały burak ten wielkie dobrodziejstwo w roku zaprzestaliśmy, w którym panował brak paszy. Należy zaopatrzyć się, co jest rzeczą główną, w świeże, prawdziwe nasienie, które się zasiewa od czerwca do sierpnia na polach, zagonach warzywnych i na ściernisku. W 5—6 tygodni urosną okrągłe buraki, ważące 5—8 kilo, pokryte na metr wysokim, tustem i buchastem liściem. Wówczas obfitem jest żniwo dla bydła; mleko jest gęste a masło aromatyczne. Także burak ten jest najlepszym do marynowania i kiszenia jako powszechnie ulubiona potrawa do skopowiny i wieprzowiny. Ugotowany burak daje zdrową, rozgrzewającą w zimnej porze roku potrawę dla dzieci i dorosłych. Liście można ułożyć mocno w doły, posypać solą, mocno nakryć a w ten sposób utrzymają się świeże przez całą zimę i służyć mogą za dobrą paszę.



Uprawa zatem angielskich buraków (Turnips) jest dla rolnika połączona z wielkimi korzyściami. Najświeższy import angielskich buraków na paszę nadszedł wprost w ostatnim czasie do firmy: **Practische Gartenbau-Gesellschaft** w Bawaryi w Frauendorf (poczta Vilshofen), zkaż każdą ilość sprowadzić można.

Wzmiankowana firma odstawia ½ kilo prawdziwego, świeżego nasienia za 2,0 mrk., 5 kilo za 20 mrk., 100 gramów na próbę za 80 fenigów. Jako najtrwalszy gatunek uznany jest Turnips Grey stone (szary kamień).

Dolno-bawarski okrągły, biały burak jesienny, najbardziej lubiany gatunek, bardzo słodki i wydający obfite żniwo, za ½ kilo 1 mrk., za 5 kilo 5 marek.

Wielu rolników uprawia właśnie tylko ten gatunek buraków t. zw. „rog“; mających kształt wielkich rogów wołu i ztąd nazwa; ważą od 5 do 8 funtów.

Prosimy zrobić próbę z tym gatunkiem, który z pewnością świetnie wyda rezultaty. Odstawiamy świeże nasienie ½ kilo za 80 fen., 5 kilo za 7 mrk.

Humorystyka.

NIE WYPADA.

Dziś w Poznaniu zagościła
Jakaś mara straszna blada:
Jej właściwość — to golizna,
Zaś nazwisko „nie wypada“.
Dla tej zmory ludzie walczą,
Zatruwają swoje życie,
Bowiem pani „Nie wypada“
Wnet ich zgromi należycie.

Człek, mający kopę dzieci,
Ledwie ich wyżywić w stanie,
Stroi jednak swoją żonę,
I paradne ma mieszkanie.
Pracą się zabija ciężką,
Plecy zgięte i twarz blada,
Gdyż mu każe tak się męczyć
Można pani „Nie wypada“.

Pani zdrowa jest jak łania,
Ma rumiane, pełne lice,
Mus i jednak zwiędzać z wiosną
Obce bady i lecznice.
A gdy kto jej zapytanie,
O sens tych wycieczek zada,
Pani na to mu odpowie:
— Siedzieć w kraju nie wypada.

Dziewczę „z buzią jak malina“
Za mąż nie chce iść „ubogo“.
Bo mężowie nie kreżusy
Jakież zbytki dać jej mogą?
Wyjdzie więc za bogatego...
Brak miłości, kłótnie, zdrada...
Jednak pieniądz to rzecz główna,
A bez niego — nie wypada...

I stróż domu gdy mu chętka
Do kufelka czasem przyjdzie,
Z drugim stróżem nie usiądzie,
Co w tej samej żyje biedzie.
Więc szewcowi zafunduje,
On z „belekim“ się nie zada,
Ludzie mają przecie oczy,
Stroż... ze stróżem... nie wypada!

Nieporozumienie.

— Cóż, wyrosły?
— O! wyrosły, wyrosły!...
— A ładne?
— Niczego.
— A dość słodkie?
— Oj, nie zawsze!
— No, jak czasami, jak co potrze-
bują, to słodkie.
— Nic a nic nie rozumiem.
— O czymże pan mówisz?
— Ja, o babach.
— No... a ja moje pięć córek miałem
na myśli.

Sentencya.

Kiedy złodziej skradnie sobie
Przedmiot jaki, no... i hula,
Wnet go łapią bez pardonu
I wsadzają wprost do ula...

Są zaś ludzie, którzy we dnie
Kradną ciągle i zuchwale,
Zrabowali biednych krocie
A nie byli w kryminale.

Za jednym zachodem.

— Kiej pan doktor starą obejrzał, to
proszę i na krowę spojrzeć i ona coś mi
niedomaga.

— Przecież ja nie weterynarz.

— To jedno, krowa nie będzie tam
wiele na to patrzeć.

Pytania i odpowiedzi.

— Jaka jest różnica między dokto-
rem a żoną?

— Żona przysięga mężowi, że go nie
opuści aż do śmierci — a nie każda do-
trzymuje, doktor nie przysięga, a do-
trzymuje.

— Jakie jest podobieństwo między
adwokatem a kołem od wozu?

— Tu i tam nie może się obejść bez
smarowidła.

— W czym malarz portretów, podo-
bny do strzelca?

— Obaj usiłują trafić.

— Jakie mięso jest najgorsze?

— Język starej bajczarki.

— Jakie podobieństwo jest między
peruką a pasztem?

— Że się w nich często znajduje cie-
łęca głowa.

Po co?

Po co mówić o przeszłości,
Dawnej lepszej, naszej doli,
Z samej nawet uprzejmości —
Nie trza mówić co nas boli!

Nie trza w sejmie, parlamencie,
Mówić jak się doma mamy,
Czy nam woda kraj zalewa,
Czy za ciężar się gniewamy!

Ciężar dani niesłychanej,
Coraz w nowej formie branej,
Ależ za to my swobody —
Już po same mamy brody.

Bo choć chwasty, ciernie, głogi,
Ścielą dziś nam wciąż pod nogi,
Choć już pełne łez łzawice,
Po co badać tajemnicę?

Po co grzebać w grobach Ojców,
Szukać w trumnach martwej chwały.
By wspomnieniem cnych praoców
Młódź do czynu podniecały?

Próżna praca i zabiegi,
Nie odmienić ciężkiej doli.
Kielich pełny aż po brzegi —
Musim stękać chociaż boli!

Nie dowiedziem swoją racją,
Że nadziei gwiazda zbladła,
Nie wygramy apelacją —
Choćby nawet i do Djabła!..

Kobieta.

Co zaciekawia — gdy szeleści?
Strój niewieści.
Co uszczęśliwia — gdy nas pieści?
Wzrok niewieści.
Co sprawia zawód i boleści?
Fałsz niewieści.
Co czując nie zna życia treści?
Umysł niewieści.
Co dziś najwięcej świat bezcześci?
Błąd niewieści.
Co w życiu ginie a bez wieści?
Płacz niewieści.
Co tajemnicę w sobie mieści?
Grób niewieści.

Długi czas.

Przed profesorem K. skarżył się raz
pewien żyd, że od dłuższego czasu cierpi
na brak apetytu.

— Jak temu mniej więcej dawno? —
pyta profesor.

— Od Tischebow (święto żydowskie
na pamiątkę zburzenia Jerozolimy).

— Odkąd? — pyta profesor, nie ro-
zumiejąc tego technicznego wyrażenia.

— Od czasu zburzenia Jerozolimy —
odpowiada żydek.

W PIEKLE.

Djabł smażył konfitury
Z różnych carskich ideałów:
Z sowietników*) zdierał skóry
A opiekał generałów.

Wojennych gubernatorów
Wędził nad topiarnią siarki,
A w gardła inkwizytorów
Lał dziegieć z płonącej warki.

— „Pamiluj! — wszyscy krzyczeli —
Jej Bohu nie winowaty!
My nikomu nic nie wzięli,
Pamiluj djabła rogaty!“

— „Co? będziecie jeszcze łgali,
O! galgany, o! skatiny,
Czyście Litwy nie zabrali?
A Wołynia, Ukrainy?“

— „To nie my! to Katarina
Kupiła od P.....,
Trzeba tego gaspadina
Wsadzić do kociołka twego!..“

Trzeba całą Targowicę
Wsadzić, smażyć i szpikować —
Zawiniły te
A my mamy pokutować?

Trzeba innych... — „Małczat' wory
Zawołał Belzebub wściekle,
Wiem co robię, carskie sfory!
Tamtych w innym smażyć piekle.“

Wsadzę ja tam do ich kotła
Z dziesięć kop błazniuków winnych,
Tylko czekam, by śmierć zmiotła
Kpówskich, no i innych!“

*) Doradców.